



Chłop Robotnik Pracownik

ORGANIZUJEMY życie poto, żeby ludziom było najlepiej — żeby mieli najwięcej zadowolonych moralnych i korzyści materialnych.

Państwo jest poto tylko — żeby ludziom najlepiej się żyło — jest poto, żeby organizować pracę wszystkich dla wszystkich.

Tak obecnie nie jest.

Skłócone narody i państwa — bo niema zrozumienia dobra wspólnego — światowego. Ale o tym międzynarodowym problemie — kiedy indziej.

Skłócenie ludzi wewnątrz państw. Mamy Polskę: kraj i ludzi. Ludzi skłóconych, nie umiejących skoordynować tak swej pracy, by wszystkim było najlepiej.

W imię prawa, które zwycięży, organizujemy się: chłop, robotnik i pracownik. Poprzez mury i płoty partyjne — dogadujemy się — mamy wspólny język, jesteśmy jednością, bo jesteśmy ludźmi p r a c y. Konserwatywne twierdzenie, „że interes robotnika a interes chłopca jest różny” — jest kłamstwem. Kłamstwem jest to twierdzenie, bo: aczkolwiek robotnik jest w Polsce lepiej wynagradzany, ale ten miernik w tym wypadku jest tendencyjną ilustracją, natomiast tutaj decydują inne mierniki jak: znojsność pracy, niewiele od siebie odbiegające odczucia kulturalne, wspólna grupa zaszeregowania według klasyfikacji dzisiejszej cywilizacji (np. ilość zużytego mydła, soli — to są mierniki dawne, zużycie elektryczności, zastosowanie techniki w życiu — oto mierniki dzisiejsze).

To są nietylko Trzej Bracia, ale TRZEJ MIŁUJĄCY się BRACIA. To są ludzie, którzy idą razem w trudzie, w realizacji najpiękniejszych prac — by wszystkim Braciom Pracy było dobrze.

I to jest wielka filozofia życia. To jest moralna podstawa pracy naszej. W konsekwencji swojej pociąga to za sobą łańcuch decyzji w dziedzinach prac: ustrojowych i gospodarczych. Z tego wynika Państwo Polskie, jednoczące wszystkich ludzi, wszystkie narody zamieszkałe i działające na jego terytorium. Z tego wynika industrializacja, spółdzielczość, Centralny Okręg Przemysłowy i t. d. Organizowanie pracy wszystkich — jest zadaniem Państwa, poto, by zaspokoić maximum potrzeb wszystkich. Dzisiejsze Państwo niema planu pracy całej Polski. Odcinkowo: COP — pięknie, odcinkowo: źle, odcinkowo: wcale.

Młody chłop, młody robotnik, młody pracownik. — Trzej Miłujący się Bracia widzą to i czują to.

Z tego uczucia i z tego spojrzenia wynika jeszcze mocniejsze zbratanie się w pracy.

W dokonanej naszej pracy i walce — zwycięstwo nasze: ludziom w Polsce dobrze.

A o to chodzi: z w y c i ę s t w o.

J. D.

Przegląd na w gorze

DWUTYGODNIK MŁODEJ DEMOKRACJI

Odpowiedź jest prosta

Idea „frontu demokratycznego” narzuca się z coraz większą mocą — jako jedyne w obecnym układzie stosunków możliwe rozwiązanie, prowadzące do wzrostu potęgi państwowości naszej.

Coraz silniejszą staje się w masach świadomość konieczności zjednoczenia dotąd rozstrzelonych działań — by rozpocząć budowanie własną wolą i własnym trudem prawdziwie polskiej — nie na naśladowanie obcych wzorów opartej — rzeczywistości.

Naturalny ten proces posiada dwójakiego rodzaju przeciwników.

Do idei Polski Ludowej — wrogo ustosunkowują się prądy reakcyjne — narodowe. — Rzecz zrozumiała, że Polska mas pracujących — nie uśmiecha się ani klasom posiadającym, całkiem nieźle się mającym w warunkach obecnego reżymu — ani też zwolennikom „hierarchicznej” organiza-

cji narodu” — czcicielom stądnego wychowania w ślepych posłuchu i ślepej dla obcych nienawiści. Rzecz zrozumiała, że walczyć z nią będą zaciekle aż do ostatecznej swej klęski, — w obronie zagrożonych interesów — czy jak kto woli „idealów” — zapominając o nadrzędnym dobrze zbiorowości — o sile i powadze państwa.

Idea wypchanego walorami portfela, czy też swojskiego straganu, jest przecież częstokroć życiowo bliższa — bezpośrednio od abstrakcji państwowej racji stanu.

Ten rodzaj przeciwników — to jawni wrogowie idący do walki z odkrytą przyłbicą.

Są jednak i inni. „Komintern jednoczy demokrację” — pisała niedawno „Gazeta Polska” — przytaczając skwapliwie cytaty z przedmowego numeru „Czerwonego Sztandaru” organu K. P. T. — Świadczące o chęci

komunistów współdziałania w tworzeniu się frontu demokratycznego.

Czyż jest to świadectwem jednak rzeczywistej sympatii kominternu — do polskich ruchów ludowych — tak rzeczywistej, jak sentyment hitlerowski dla wszelkich pomysłów totalno-narodowych w Polsce?

Rosja sowiecka nie chce z pewnością silnej Polski. Silną zaś Polskę mogą stworzyć tylko masy pracujące po zdobyciu należnego wpływu na losy państwa.

Jak więc wytłumaczyć sobie wyrażone przez komunistów pragnienie uczestniczenia w organizowaniu mas, które jedynie mogą pracą swą dać nam wielkość?

Odpowiedź jest prosta.

Ruchy ludowe potężniejąc z dnia na dzień czynią oczywistym każdemu postronnemu obserwatorowi — że zwycięstwo nasze — że Polska będzie demokratyczna.

Żadne przeciwdziałanie nie powstrzyma narastającego w masach polskich pragnienia stanowienia o sobie. Z faktem tym trzeba się pogodzić. Pozostaje tylko jedno wyjście: demokrację polską od dołu wpływami swymi podminować, by odebrać jej nazajutrz po zwycięstwie zdolność konstruktywnego czynu.

Wielokrotnie jasno sformułowane negatywne stanowisko polskiego świata pracy do wszelkich pomysłów współdziałania z Partią Komunistyczną — dowodzi iż obóz demokratyczny zdaje sobie doskonale sprawę z niebezpieczeństwa tego „pocalunku Almanzora” jakim chcieliby go obdarzyć komuniści. — będący równie zaciętymi przeciwnikami Silnej Polski Ludowej — jak obóz społecznej reakcji — a posługujący się jedynie odmienną taktyką: spuszczonej przyłbicy.

To też dziwnym wydaje się ogólny tenor wspomnianego artykułu organu rządowego. Trudno uwierzyć, by „Gazeta Polska” na serio brała pod uwagę możliwość współpracy stronnictw ludowych z komunistami. Nasuwa się raczej przypuszczenie, iż chodzi tu tylko o zręczne wykorzystanie nadarzającej się okazji złączenia idei frontu demokratycznego z działalnością obcych agentur — a tym samym dyskredytowania jej w oczach bezkrytycznego czytelnika.

Ten sposób walki jest aż nadto w Polsce rozpowszechniony — od lat stosuje go wielka nauczycielka narodowych neofitów z pod ozonowego znaku — endecja.

Nie wpływa on jednak na podniesienie poziomu naszej kultury politycznej, — no i nie przynosi wielkiego zaszczytu tym — którzy się nim posługują.

Od Redakcji

Wydając przed kilkoma miesiącami pierwszy numer naszego miesięcznika postawiliśmy sobie za zadanie szukanie dróg, którymi młodzież polska, ująwszy w swe ręce sztandar demokracji i wolności, kroczyć będzie ku Polsce Jutra.

Nie uchylając się od współpracy ze starszym pokoleniem, szanując zasługi bojowników o wolność, nie możemy jednak ograniczać się do roli politycznych „krwiodawców”, odnawiających dopływem młodych sił żywotnych stare idee i programy.

Nowa epoka, zmieniając się warunki bytowania wymagają nowych idei, nowych metod rozwiązywania problemów.

My, młodzi, musimy sobie jasno i wyraźnie odpowiedzieć na pytanie do czego dążymy i co chcemy w Polsce niedalekiej przyszłości.

Niejednokrotnie podkreśliliśmy niebezpieczeństwo, jakie groziłoby nam wszystkim, gdybyśmy zapatrzeni stale w odległe wizje celów ostatecznych zapomnieli o życiu realnym i zaniedbali lub nie umieli zespolić się w imię wspólnych nam idei — celem obalenia piętrzących się już dziś na naszej drodze przeszkód i zapór.

Naszą rolą — ludzi wychowanych na ideale obywatelskim Józefa Piłsudskiego — ideale przepracowującym rzeczywistość stale i nieugięcie — w myśl najgłębszych nakazów moralnych — zawsze do życia ustosunkowującego się konstruktywnie — naszą rolą i ambicją być musi, te wartości realizacyjne, jakie przedstawiamy, wnieść do życia społecznego i twórczą postawą swoją przyczynić się do realizacji wizji, przyswiecającej masom, Polski lepszej i piękniejszej niż dzisiejsza.

W pracy naszej spotykaliśmy się ze zrozumieniem i życzliwością oraz wzrastającym zainteresowaniem szerokich kół czytelników.

Umożliwiło to nam wprowadzenie zmian w wydawaniu pisma, które zamiast, jak dotychczas, miesięcznie, będzie wychodzić co dwa tygodnie, t. j. 1 i 15 każdego miesiąca.

Jednocześnie zmuszeni byliśmy z przyczyn od nas niezależnych wprowadzić zmianę w nazwie naszego pisma.

REDAKCJA.

J a n
Kossko

Państwa bałtyckie a Polska

Polityka zagraniczna trzech państw bałtyckich: Litwy, Łotwy i Estonii kierowała się dotąd raczej koniecznościami politycznymi, bądź gospodarczymi pochodzącymi z zewnątrz, aniżeli pewną własną myślą polityczną. Odnosi się to przede wszystkim do Litwy, którą słynne do niedawna „question de Wilno” postawiło w stan konieczności balansowania pomiędzy Niemcami i Rosją, jak również dotyczy to Łotwy, zmuszonej szukać oparcia przed niewygodnym sąsiadem północnym Z.S.S.R. oraz sąsiedniej Estonii znajdującej się w identycznym położeniu.

Ten stan rzeczy zmuszał państwa bałtyckie do szukania sprzymierzeńców, mogących skutecznie gwarantować ich niepodległość polityczną, nawet niekiedy za cenę uzależnienia się politycznego lub gospodarczego.

Do roku mniej więcej 1930 polityka zagraniczna państw Nadbałtyckich obracała się na platformie Ligi Narodów. Tu znajdowano, raczej szukano sprzymierzeńców, to też przystosowano właśnie programy polityczne do sytuacji międzynarodowej.

W tym okresie, t. zn. do roku 1930 państwa nadbałtyckie nie wytworzyły wspólnych wytycznych w polityce zagranicznej, chociaż właśnie atmosfera Ligi Narodów podsuwała niejako koncepcję modnej wówczas Ententy.

Każde z tych państw zdawało się prowadzić wówczas politykę niejako odśrodkową w stosunku do dwóch pozostałych bałtyckich sąsiadów, tak samo, jak każde z nich wytyczało inne zadanie w zakresie polityki wewnętrznej i zagranicznej do realizacji na najbliższą przyszłość.

Co prawda niejednokrotnie podkreślano, zwłaszcza w Łotwie i Estonii potrzebę i celowość sojuszu bałtyckiego, na wzór Małej Ententy, jednak do realizacji było daleko, wobec zasadniczych różnic i przeciwieństw w zakresie polityki zagranicznej trzech sąsiadów.

Dopiero po roku 1930 tendencje sojuszowe zdają się powoli realizować. Walnie przyczynia się do tego zdecydowana zmiana orientacji politycznej Litwy, która w obawie o bezpieczeństwo Kłajpedy, porzuca dotychczasowe stanowisko exterminacyjne znajdujące oparcie w zbliżeniu z Niemcami, i sama wysuwa koncepcje porozumienia i sojuszu pomiędzy państwami bałtyckimi.

Urzeczywistnienie tych założeń było bardzo trudne. Łotwa i Estonia żyjące w ciągłej obawie przed sąsiadem północnym widziały realizację takiego porozumienia w stworzeniu frontu antysowieckiego z naczelnym udziałem Polski jako największego z państw bałtyckich ((Niemcy i Z.S.S.R. w terminologii politycznej do „państw bałtyckich” nie należą). Tendencje te wyraźnie zarysowały się zwłaszcza w Estonii, gdzie znalazły wyraz w zbliżeniu się Polsko - Estońskim od roku 1934.

Owczesna Litwa, stojąca na nieodpowiedzialnym wówczas stanowisku „question de Wilno” wykluczała z góry ewentualność czwórporozumienia z udziałem Polski, tym bardziej, że nie szukała, jak Łotwa i Estonia oparcia przed Rosją, lecz przed Niemcami, usiłując nawet znaleźć to oparcie w zbliżeniu się do Rosji Sowieckiej.

Sama koncepcja Ententy bałtyckiej znalazła swój połowiczny wyraz od roku 1934 w tak zwanych „konferencjach państw bałtyckich” obradujących z udziałem kierowników polityki zagranicznej trzech państw corocznie kolejno w jednej z trzech stolic. Konferencje te miały na celu zbliżenie gospodarcze i polityczne trzech krajów, przewidywały nawet ewentualność sojuszków wojskowych (rok 1935) lecz praktycznych wyników nie przyniosły. Głównym powodem jałowości tych wyników było zbyt podobno podporządkowanie się jednego z trzech sąsiadów dyktawom Rosji Sowieckiej, jak również brak głębokiej łączności gospodarczej i politycznej pomiędzy tymi

trzema organizacjami państwowymi.

W tych latach państwa bałtyckie przeżywały głębokie wewnętrzne przeobrażenia gospodarcze i społeczno - polityczne, stosunki gospodarcze wobec jednolitości ich struktury ekonomicznej były minimalne, wreszcie brak praktycznych widoków współpracy politycznej przekreślał z góry te wysiłki. Dochodziła do tego nieokreślona sytuacja Litwy w stosunku do Polski, jak również filtrująca do Nadbałtyku wpływy sowieckie wręcz uniemożliwiające stworzenie stałej i określonej doktryny w polityce zagranicznej.

Organizatorzy zdawali też sobie sprawę z jałowości prób stworzenia takiego sojuszu bez udziału Polski, będącej przecież jednym z najpoważniejszych partnerów nad Bałtykiem. Już w roku 1935 minister spraw zagranicznych Litwy p. Lozorajtis stwierdził, że: „istotą trudności w pracach konferencji trzech państw bałtyckich nad utrwaleniem pokoju

jest brak decydującego czynnika równowagi politycznej nad Bałtykiem”.

Polska, z natury swego położenia geopolitycznego może i powinna stać się tym „czynnikiem równowagi” nad Bałtykiem. Z jednej strony jest to warunkiem niezawisłości państw bałtyckich, zmuszonych szukać protektorów dla obrony swego istnienia. Otwiera państwom bałtyckim to duże możliwości gospodarcze, tranzytowe i szereg innych. Z drugiej strony Polska uzyskuje wpływ bezpośredni na politykę bałtycką, jak również otwierają się szerokie możliwości rozwoju gospodarczego dla naszych Kresów.

Musimy jednak pamiętać, że w rozgrywce o pierwsze skrzypce nad Bałtykiem mamy poważnych partnerów w ekspansji Niemców na północ i Rosji sowieckiej do Bałtyku. Obecnie koniunktura jest wyjątkowo dodatnia wobec zaangażowania się Niemiec w kierunku półwyspu bal-

kańskiego i wobec destrukcji wewnętrznej w Rosji Sowieckiej. Polityka Polska nie może jednak iść w kierunku wskazań domorosłych statystów z pod znaku wileńskiego „Słowa” domagających się stale „rekompensaty” za anektowaną Austrię. Pomijając oryginalny tok rozmowy tego rodzaju, należy stwierdzić, że jedynie w wolnej od obustronnych zawiści i niechęci atmosferze może być zawarte nie tylko porozumienie z Litwą, ale też trwały sojusz ze wszystkimi państwami bałtyckimi, będący zresztą sankcjonowany tradycją polityczną od czasów Jagiellonów.

W ten sposób należy też rozumieć projektowaną w najbliższym czasie podróż p. Ministra Beka do Szwecji i Estonii. Pomijając charakter oficjalny tej podróży, będzie ona wyrazem rosnącego zbliżenia polsko - estońskiego, oraz — miejmy nadzieję — będzie pierwszym etapem ścisłej łączności pomiędzy krajami bałtyckimi a Polską.

Bolesław
Pawłowicz

PRZEGLĄD POLITYCZNY

„Świadomi spuścizny życia Józefa Piłsudskiego, stajemy do wytyżonej walki i pracy. Przeżyte formy stają na przeszkodzie, usiłując przeciwstawić krystalizowaniu się i zgrupowaniu sił twórczych narodowo-państwowych, po drugiej stronie barykady, mających obóz folksfrontu”. Tak w sierpniu 1937 roku pisał Kierownik Związku Młodej Polski, pułkownik Adam Koc. Jedynie chyba czarem „wodzowskich oczu” Bolesława Piaseckiego można tłumaczyć sobie owe ponure, a zarazem i groteskowe osiem miesięcy istnienia Związku Młodej Polski. Stary i zasłużony żołnierz Marszałka, jakim niewątpliwie był Adam Koc, nawiązuje raptownie kontakty z nielegalną grupą młodzieży, która do ostatnich chwil zwalczała w niewybredny sposób zarówno Józefa Piłsudskiego, jak i Jego ideę, która rozprętała antypaństwową hecę nacjonalistyczną, która wreszcie łom i kastet podniosło do rangi najwyższych argumentów. Nieliczna ta grupa zostaje predystynowana na jedyną nadzieję Państwa, jej też oddaje się w monopol całą robotę młodzieżową Obozu Zjednoczenia Narodowego. Wódz Piasecki odkomenderowuje swego podwładnego, Jerzego Rutkowskiego na „odcinek Związku Młodej Polski”, sam zaś jednak nie angażuje się osobiście. Rutkowski zabiera się energicznie do roboty.

Organizuje obozy instruktorские, rozwija kampanię prasową, (4 pisma), rozciąga sieć Związku na całą Polskę. Idee, głoszone przez Związek Młodej Polski nie odbiegają w niczym od hasła „Falangi”. Zdołano najgorszego gatunku, zakłamaną radykalizm, program gospodarczy, usiłujący w XX wieku narzucić zasady, głoszone przez Tomasza z Akwinu, oto ideały, mające w myśl uzożnionych oenerowców, zbawić Polskę. Jedynym ustępstwem było laskawe uznanie Józefa Piłsudskiego i bardzo naciągane nawiązywanie do tradycji legionowych. Ale i to było za dużo dla pana Rutkowskiego. W pierwszym numerze „Młodej Polski” odmówiono kierunkowi niepodległościowemu podstaw myślowych; Piłsudski we dług nich jedynie emocjonalnie działał, myśl zaś polityczna była wyłączną domeną Romana Dmowskiego. Nic więc dziwnego, że troskliwe pielęgnowanie młodopolskiego nowotworu wywołało oburzenie i przerażenie wśród praw-

dziwych piłsudczyków i postępowców, którzy rozpoczęli ożywioną akcję, mającą na celu zlikwidowanie „oswojonego Oeneru”. Zmianę na stanowisku szefa Ozonu, która wywołała dużą ulgę wśród społeczeństwa, zaczęto wiązać z pogłoskami o odstąpieniu od „falangowego” kierunku. W ostatnich dniach pogłoski te się sprawdziły. Władze Obozu Zjednoczenia Narodowego doszły wreszcie do przekonania, że nie można dłużej tolerować makabrycznego wprost stanu rzeczy, jakim była współpraca z najbardziej anarchiczną grupą polityczną w Polsce, i zdecydowały się na jej zerwanie. Jak zerwanie to wyglądało, wiemy wszyscy z prasy codziennej, tu ograniczymy się tylko do stwierdzenia, że fakt upadku „legendy Młodej Polski” wywołał w opinii demokratycznej uczucie dużego odprężenia.

Drugim pomyślnym faktem do zanotowania jest wyrzucenie z Ozonu posła Budzyńskiego, redaktora „Jutra Pracy”. Grupa „Jutra Pracy”, znana na terenie politycznym z chobliwego nacjonalizmu, postawiła sobie za zadanie przelicytować najbardziej reakcyjne ugrupowania. Dowodem tego było chociażby wniesienie w Sejmie przez posła Budzyńskiego projektu ustawy przeciwmasońskiej, świadczącego wymownie, że mentalności endeckiej jego twórcy nie pomógł nawet pobyt w Legionach. Grupa ta marzyła również skrycie o połączeniu pod swoją egidą obu Oenerów i nawet wiodła w tym celu długie rozmowy. Demonstracyjne więc usunięcie czolowego działacza tej grupy z Obozu Zjednoczenia Narodowego może być oznaką, że jednak powiał w nim zdrowy, ożywczy wiatr z Wilna.

Ponieważ jednak nie ma róży bez kolców, nie ma również kroniki bez wiadomości przykrych i przygnębiających. Taką bezwzględnie jest przeniesienie wojewody Józefskiego z Wołynia do Łodzi. Po tylu latach ofiarnej i owocnej pracy na tak wyjątkowo trudnym terenie jakim jest Wołyń, przeniesienie wojewody Józefskiego równa się jego degradacji. A nie trzeba zapominać, co zrobił ten jedyny w Polsce poza Grażyń-

skim, wojewoda, który miał swoją własną, wyraźną linię działania. Odciał on społeczeństwo ukraińskie na Wołyniu od nacjonalistycznych wpływów z Małopolski Wschodniej, przepełnił je ideą państwowości polskiej, zaprzęgił je do pracy dla dobra Państwa. To właśnie było solą w oku nie tylko hajdamakom ukraińskim, ale i naszej rodzimej czarnej sotni różnego autoramentu, która nie mogła znieść człowieka stojącego ponad ciasnymi murami nacjonalistów. Rozpoczęli więc na niego nagonkę, która teraz, niestety, skończyła się ich zwycięstwem. Miejmy jednak nadzieje, że błąd zostanie w niedługim czasie naprawiony, i Wołyń powita swego powracającego gospodarza któremu tak dużo zawdzięcza.

Kilkanaście dni temu Starosta Grodzki Śródmiejsko - Warszawski rozwiązał Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej i Koło Seniorów tej organizacji.

Jednocześnie organy Policji Państwowej przeprowadziły szczegółowe rewizje w mieszkaniach czolowych działaczy obu tych organizacji. Wszystkie bez wyjątku rewizje dały wynik całkowicie negatywny.

Powodem zarządzenia Starosty Grodzkiego były formalne usterki w zatwierdzeniu statutu.

Po 20 latach istnienia okazało się, że Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej działał na podstawie niezatwierdzonego statutu.

Przez 20 lat był on uznawany formalnie przez władze jako organizacja, aby nagle ulec rozwiązaniu.

Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej stanowił zbyt poważną pozycję w życiu politycznym młodzieży polskiej, aby kwestia jego istnienia mogła być przesądzana w ten sposób.

Reprezentując ruch socjalistyczny wśród młodej inteligencji, akademicy, socjaliści umieli zdobyć sobie niezwykle poważne stanowisko moralne i ideowe zarówno w socjalistycznym ruchu robotniczym, jak i w życiu politycznym młodzieży polskiej.

O ile wiemy, przedsięwzięte zostały wszelkie kroki, mające na celu uzyskanie odwołania decyzji władz administracyjnych.

Prosimy o uregulowanie zaległości i odnowienie prenumeraty na kwart. II

Edward Dąbrowski
Mieczysław Haresz

Powiedzmy sobie prawdę

Przed przystąpieniem do meritum sprawy zastrzegamy się od początku, że nasza krytyka nie dotyczy prawdziwej młodzieży lewicowej, to znaczy młodych robotników i chłopów. W pełni oceniamy siłę i wartość tych ruchów, które są podstawą wszelkiej pracy na przyszłość. Nasz artykuł ma na celu zobrazowanie sytuacji wśród młodego pokolenia i inteligencji.

Młodzież lewicowa — zestawienie dwóch słów mających zawierać w swej całości wielką treść. Młodość to temperament, wiara w ideały, chęć czynów; lewica to walka o sprawiedliwość społeczną, to ukochanie wolności, to głos ludu. Wiele wspólnych cech, myśli, dążeń tworzących harmonijną całość, powstałą na drodze naturalnej.

To jest filozofia, zostawmy ją w spokoju i nawróćmy do rzeczywistości. Porównanie teorii z praktyką da nam kontrakt smutny, ale prawdziwy.

Dzisiejsza młodzież lewicowa, rekrutująca się z szerokich rzesz inteligencji, nie reprezentuje, w obecnej Polsce, prawie żadnej siły. W przeciwstawieniu do młodzieży prawicowej jest ona liczbowo nie wielka, a co ważniejsze nie potrafi stworzyć, wokół siebie, odpowiedniej atmosfery. We wszystkich organizacjach młodych lewicowców, których wielka ilość wcale nie jest objawem dodatnim, panuje powszechny brak dynamizmu i brak entuzjazmu dla własnych haseł.

Dlaczego tak jest? Dlaczego jest nas tak mało, dlaczego nie zabieramy decydującego głosu w życiu młodego pokolenia? Gdzie szukać przyczyn? Ktoś z boku postawi pierwszą najprostszą tezę, najbardziej rzucającą się w oczy przy rozwiązywaniu tego problemu.

Ideały wyznawane przez lewicę straciły swoją aktualność. Prądy lewicowe, jak wiele innych kierunków umysłowych na świecie skończyły się i należą do przeszłości.

Ludzie, którzy dziś chwytają się przestarzałych ideałów, nie mogą liczyć na porwanie mas i muszą z natury rzeczy zginać na tle nowego wyznania wiary, za którym ich umysł już nie nadąża. Krytyka zdawałoby się logiczna i dla swych pozorów chętnie podchwytana przez obóz reakcji. Na szczęście tak nie jest i nie tu należy szukać powodów słabej pozycji młodzieży lewicowej.

Nie uprzedzajmy jednak myśli, a zmieńmy tylko kierunek naszych dociekań.

CO NAS RÓZNI?

Zajmijmy się przede wszystkim ustaleniem istotnych różnic między młodzieżą lewicową i prawicową. Nasi koledzy z drugiej strony frontu mają zadanie dość proste. Program ideowy dostają z góry, ograniczając się wyłącznie do przyjęcia go na wiarę. Posiadając taki katechizm, czują się zwolnieni od wszelkiego myślenia i krytykowania.

Młodzież prawicowa ma hasła łatwe, przystępne i nieskomplikowane, dające duże możliwości do t. zw. „roboty politycznej”. Dzisiejsze uczelnie polskie w większości opanowane są przez reakcję — spójrzmy, co się tam dzieje, a będziemy mieli działalność naszych kolegów.

Młodość musi się wyszumieć — powiadają ludzie. Realizacja ideałów młodzieży prawicowej bardzo się do tego nadaje. Może to nie wszystkim odpowiada, ale dla umysłów niemyślących jest niewątpliwie atrakcyjne.

To jedna strona medalu. Teraz kolej na nas.

Mamy pretensję do myślenia. Szukamy uzasadnienia wszystkiego, co na wiarę. Zaleta to ogromna i zasadniczo nas różniącą od młodzieży prawicowej, której masy są intelektualnie całkowicie bierne — i absorbują tylko emocjonalnie z góry narzucone im hasła.

Nasze ideały — tak nam się przynajmniej wydaje — to wielkie prawdy obiektywne, słuszne same przez się. Nasza siła leży w słuszności tych

ideałów, które „były i będą ważne dla wszystkich ludzi i wszystkich czasów”.

Cóż za ironia. W złudnym i fałszywym przekonaniu o istnieniu prawdy obiektywnej, ponadczasowej, niezależnych od przemian gospodarczo społecznych, niezależnych walk klasowych, w przekonaniu, które jest jednym ze źródeł bezwładu — szukamy naszej siły!

Ale wydaje nam się, że podchodzimy do zagadnień życiowych od podstaw docierając do istotnego ich sensu. W naszym rozumowaniu chcemy być logiczni i konsekwentni.

Czy jednak tak jest naprawdę. Czy te wszystkie różnice rzeczywiście istnieją pomiędzy prawicowym, a lewicowym odłamem młodzieży inteligentnej? Jak przede wszystkim wygląda sprawa przemyślenia programów i haseł. To co stanowi najistotniejszą różnicę i co dałoby się ująć w lapidarną formułę: „Jesteśmy rozumni — myślimy — przeciwstawiamy się kołtuństwu i bezmyślności Ciemnogrodu”.

ŚRODOWISKO.

Nim analizujemy proces myślenia młodzieży lewicowej i drogi jakimi ono przebiega zatrzymajmy się chwilę nad faktami, które to myślenie warunkują. Przede wszystkim więc nad naszym własnym środowiskiem. Jest to w większości środowisko inteligencji zawodowej. Są to ludzie, którym pojęcie demokracji i wolności skojarzyło i zjednoczyło się pewnymi pojęciami form życia tak państwowego, jak i prywatnego.

Środowisko to w znacznej mierze jest środowiskiem idealistycznym, nieuznającym materialistycznego punktu widzenia. W własnym rozumieniu nie posiada ono żadnych specjalnych interesów gospodarczych i społecznych. Ta właściwość pozwala mu łatwiej niż innym grupom społecznym widzieć i rozumieć interesy ogółu — interesy Państwa. Pozwala mu ona interweniować i arbitrować w sporach pomiędzy przeciwstawnymi sobie grupami gospodarczymi. Dzięki niej pojęcie środowiska o prawie, o rządzeniu państwem, są najbliższe obiektywnej prawdy, najbardziej odpowiadają całości interesów państwowych, są najsluszniejsze. Taką widzi siebie inteligencja. Takie uprawnień i właściwości sobie przypisuje.

Taka postawa środowiska znajduje swoje odbicie w systemie myślenia młodzieży, jaka z tego środowiska wychodzi, to też fałszywe, niezgodne z rzeczywistością założenia, stawiają w końcu w sytuacji bez wyjścia tych, którzy chcieli na nich budować i rozwijać swój światopogląd.

Przed wszystkim więc owa „ponadklasowość inteligencji”. Przecież inteligencja pracująca, urzędnicy państwowi, samorządowi, prywatni, pracownicy naukowi, gospodarzy, etc. są przedłużeniem systemu rządzącego, jego aparatem wykonawczym w społeczeństwie. Są więc reprezentantami interesów systemu co do którego „ponadklasowości” żadnych chyba wątpliwości być nie może! A z drugiej strony charakter pracy, system zatrudnienia, niska płaca szerokich rzesz inteligencji upodabnia je i jednoczy ich interesy z interesami świata pracy, przeciwstawnymi do interesów systemu rządzącego. Z tej sprzeczności wewnętrznej płyną liczne wahania, rozterki no, i teoria o „ponadklasowości”. A skutki tej teorii?

Poczucie obiektywności własnej, znajdowania się ponad sporami innych, możliwości ich regulowania; z jednej strony prowadzi do oderwania się od rzeczywistości społecznej, z drugiej zaś do chęci przewodzenia tej rzeczywistości, regulowania jej według swoich wyobrażeń. Powstaje sprzeczność.

I w tej sprzeczności tkwi jedna z przyczyn naszego bezwładu. Chcemy budować życie społeczne, my, którzyśmy się od niego tak bardzo oderwali. Budować, ale w myśl jakich ideałów? W myśl ideałów wykonanych i stworzonych przez siebie samych.

ZDALA OD ŻYCIA.

I tu mamy drugą przyczynę bezwładu — koncepcjonalizm. Niepoznanie do sedna zagadnień, niedociekanie biegu rzeczy. Zamiast tego tworzenie planów i programów, mitów i idei tworzenie po to, aby wedle nich potem urabiać rzeczywistość. Budujemy całe skomplikowane schematy osądów i przemysłów, precyzyjne i logiczne budowle, lecz zawieszono w pustce, bardzo odległe od treści życia. Nic dziwnego, że nie natchną one nikogo zapalem. Przyczyniają się tylko do potęgowania chaosu i rozbicia.

Obok zjawiska koncepcjonalizmu, nieuniknionej zresztą choroby, która musi wystąpić w tym środowisku, spotykamy się z drugą z niedomyśleniem.

Ze zwyczajnym, ale jakże pospolitym niedomyśleniem wielu rzeczy do końca, niesprecyzowaniu, niewyciągnięciu konsekwencji z przyjętych założeń — jednym słowem z lenistwem myślenia! A niejednokrotnie także z brakiem odwagi myślenia i wyciągnięciu konsekwencji, któreby mogły przekreślić wiele nawyków i wygód życiowych.

Myślenie i zastanawianie się nad faktami ma jedną zasadniczą wadę życiową — nie pozwala na działanie bezmyślne, na moralne zenczenie, zabija dynamizm „ulicowy”. Ale jedynie myślenie konsekwentne i logiczne nadaje jednostkom dynamizm prawdziwy, dynamizm życia. Myślenie, niepełne, niekonsekwentne, tchórzliwe, odbierające wszelkie dogodności stanu bzdury nie daje nic wzamian prócz rozterek i słabości. I oto mamy odpowiedź na pytanie jak wygląda sprawa przemyślenia programów i haseł.

Istnieje jeszcze jeden moment, który zdaniem naszym, stanowi przeszkodę w normalnym kształtowaniu się stosunków wśród lewicowego odłamu młodzieży inteligentnej, a tym samym przyczynia się do jej bezwładu — a mianowicie szeroko rozpowszechniony — nazwijmy go tak — „mit młodości”.

„Ze oto młodzież „znajdzie wspólny język”, „porozumie się”, „będzie wznosić”, „budować”, „pchnie na nowe tory”, „wspólnym wysiłkiem” itd. tylko dlatego — że jest młodzieżą.”

Świadczy o tym najlepiej istnienie tyłu organizacji młodzieżowych politycznych, niemających żadnego prze-

łużenia czy odpowiednika w starszym społeczeństwie, jak np. Legion Młodych, Z.P.M.D., Klub 13 maja, Straż Przednia, różne Kadry, Kluby itp.

Teza zakładająca, że cecha młodości jest cechą zasadniczą odróżniającą od siebie jakiś bliżej nieokreślony nowy świat postępu od świata starego (też bliżej niesprecyzowanego) jest z gruntu fałszywą. Młodzież robotnicza ma przed sobą te same zagadnienia i problemy co i cała klasa robotnicza, młodzież burżuazyjna, żyje kategoriami swego środowiska. Młodość kończy się kiedyś wreszcie, zaczyna się wiek dojrzały i coś się dzieje z tymi, którzy pracowali w organizacjach polityczno-wychowawczych, stricte „młodzieżowych” wierząc w ich przełomowość i tworzenie nowej sprawiedliwości. Co się stanie z tymi, którzy pracują tam teraz. Jaki będzie dalszy ciąg?

Trzeba sobie zdać sprawę, że obok nieświadomości, nieprzemysłów wielu problemów i fałszywych rozumowań istnieje jeszcze jako czynnik bardzo ważki świadome, i nieświadome zakłamanie pewnych grup. Ten czynnik jest i będzie dla nas wielką przeszkodą w usuwaniu bezwładu z naszego środowiska. Przeszkodą świadomą swojej wagi.

Skończmy z krytyką. Przyznanie się do błędów jest tylko połową pracy, druga połowa to poprawa. Rzućmy kilka myśli pozytywnych.

JEDYNE WYJŚCIE.

Trzeba sobie zdać sprawę, że środowisko burżuazyjno-inteligenckie jest dla nas w znacznej swej części zasadniczo stracone. Nie może ono służyć jako baza do budowania nowej rzeczywistości. Nie separujemy się jednak całkowicie od tego środowiska. Naszą rzeczą budzić jest w nim świadomość, że jedynie we współpracy z ruchami robotniczymi i chłopskimi odnaleźć może swe właściwe miejsce. Że wtedy, gdy zrozumie, że interesy jego zbieżne są z interesami tych dwu potężnych ruchów, gdy odrzuci ostatecznie fikcję „nadklasowości” — która nie jest niczym innym, jak zamaskowanym staniem po tamtej stronie barykady — wtedy odzyska swe siły i dynamizm życiowy. Ten prawdziwy dynamizm, jaki wypływa z głębokiego poczucia, że walczy się o słuszną sprawę.

I oto jest nasze zadanie, to jest jedyne wyjście z tej sytuacji w jakiej się teraz znajdujemy.

„Ciężko nianczyć cudze dzieci”

Nie jestem idiotą.

Pewien zasób inteligencji, nie mniejszy od przypadającego przeciętnie na głowę obywatela Polski, posiadają. Mogę to stwierdzić śmiało, bez obawy posądzenia o megalomanię.

Niestety, nie wystarcza mi on dla zrozumienia, co obecnie zaszło w Z.M.P. i O.Z.N. Biorę fakty i „filozoficznie” i „na chłopski rozum” i z tej i z tej strony... Ani rusz...

Bo niech to kto zrozumie: Związek Młodej Polski nie jest zorganizowany na zasadach demokratycznych; o oficjalnym kierunku i nastawieniu związku decydują kierownicy, a nie „vox populi”; mogą wprawdzie go usłuchać, ale to jest już ich „prywatna przyjemność”. Jedyłą formą wyrażenia swego niezadowolnienia przez „doły” może być tylko wystąpienie ze związku. Jeśli zatem członkowie nie podporządkowują się zarządzeniu kierownika, odmawiają mu posłuszeństwa, to właśnie oni są „buntownikami” i stanowią „drastyczny dowód typowej anarchii”, która stara się psuć każdą zorganizowaną pracę”. Dlaczego zatem powyższych epitetów nie kieruje się do nich?

Albo:

„Gazeta Polska” z dn. 21.4.38 pisze: „Grupa młodzieży, w imieniu, której wystąpił p. J. Rutkowski, ani przez chwilę nie stanowiła organicznie ze spolonej części Obozu Zjednoczenia Narodowego. Przystąpiła doń połowicznie, przy czym rzeczywisty ośrodek dyspozycyjny pozostał na zewnątrz O.Z.N. Jest bowiem tajemnicą publiczną, że p. J. Rutkowski był tylko giermkim, cudzą tarczą i mieczyk noszącym. Grupa ta — bo cóż w bawelnę obwiać — grupa „Falangii” weszła do O.Z.N., zachowując swą spoiwość klanową i traktując Obóz Zjednoczenia Narodowego jako jeden z terenów, na którym rozwijała swą bardzo zawiłą taktykę”.

Zatem kierownikiem Z.M.P. mianowano człowieka, o którym publicznie było wiadomo, że zależy od innego środka dyspozycyjnego! Dziwne! Takie tłumaczenie faktów jest moim zdaniem conajmniej naiwne.

Kierownik nie jest kierownikiem, buntownicy nie są buntownikami, kierownictwo podlega dyspozycjom z zewnątrz... Prawdziwy galinatias!

Jedno jest jasne: wyłazło bokiem O.Z.N.owi nianczenie cudzej Falangi.

H. M.

W związku ze zmianą lokalu Redakcji i Administracji zwracamy uwagę na nasz nowy adres:
NOWY - ŚWIAT 57 m. 4

Jurgieltnicy

W związku z niesmacznym w tonie atakiem na „Orkę” p. „Grabca” w Nr. 9 „Polityki”.

Pewnej warstwie społecznej ziemia się z pod nóg usuwa. Reforma rolna, oświata dla wsi, demokracja. Tradycję burzą, majątki chcą parcelować. Podnoszą się trwożliwe głosy, płyną pieniądze do portfeli pp. redaktorów, a na gościnnych łamach poważnych czasopism ukazują się tasiecmce artykułów pełnych troski o przyszłość Rzplitej. Że niby masoneria i komuna w Polsce buszuje, Ojczyznę nam gubi.

„Orka” stoi ością w gardle panom „od reformy rolnej”. Bo w „Orce” obok młodzieńczego entuzjazmu i żarliwości są „artykuły precyzyjne, pisane na zimno, z rozważą”. A tego ci panowie boją się „jak diabły święconej wody”.

W zawile dyskusje nie wdają się nigdy. Wolą posługiwać się metodą napaści, w której więcej jest słów i piany bezsilnej złości klasowego egoizmu, niż treści.

W Nr. 2 „Orki” wyczytał p. „Grabiec”, autor utrzymanego w dziwnym tonie ataku na nasze pismo („Zygzakiem przez prasę” — „Polityka” Nr 9), że „nasza wieś, to szereg palących wrzodów i bolączek, ta niedza i głód, to czekająca na rozwiązanie parcelacja...”, że „krwawe chłopskie rewolucje z 1889 i 1907 roku spowodowane były w Ru manii nieproporcjonalnym rozdziałem ziemi i dochodu społecznego; 48,68 proc. całej uprawnej ziemi znajdowało się tam w rękach kilku tysięcy wielkich obszarników. Do r. 1924 wywłaszczono 5 milionów 800 tys. hektarów i urządzono przeszło milion nowych gospodarstw chłopskich” (art. A. Kunata-Milosza), wyczytał zapewne także, iż „można w to nie wchodzić jaki hektar daje więcej: obszarnicy czy chłopski, póki trzeba pytać komu daje. Chodzi o większą ilość ludzi sytych, a nie o abstrakcyjną w tym wypadku ilość kwintali z hektara”, a już najwięcej to chyba oburzyło p. „Grabca”, że „ziemia obszarnicza musi przejść w ręce chłopskie i dlatego zgadzamy się z prof. Grabskim”.

P. „Grabiec” myślał dni czterdzięci. Myślał długo. Wreszcie napil się żółci i zaczął pisać. Najpierw stwierdził a priori, że pojawianie się — nowych pism, różnych „Chrobrych Polsk”, „Organów Ruchu Kosynierów”, to robota „planowa i zwykle perfidna” (oczywiście wpływ mafii). Potem poklepał nas, biednych nie doświadczonych młodzików po ramieniu i po ojcowsku poglądził, że jesteśmy nieświadomie „narzędziami obcej rozgrywki”. (napewno Kominternu). Bo w „Orce” „obok artykułów pełnych dobrych woli, słuszných uwag, rzetelnej pracy, zamieszcza się takie, które precyzyjnie zwiczną kierunek, spaczają nurt, przestawia cichaczem zwrotnicę” (mowa o art. kol. Leona Łazara „Na marginesie dyskusji o reformie rolnej”). Jako dowód przytacza p. „Grabiec” fragmenty artykułu kol. Łazara, jak np., że „w Polsce nie stosuje się prawie motorowej uprawy ziemi, a fachowcy w tej dziedzinie wiedzą, że dziś dla dobrego uprawiania gleby konieczna jest siła pociągowa szybsza i mocniejsza od konia — traktor”. Traktory używa się w kołchozach w Rosji Sowieckiej — myśli sobie p. „Grabiec” — i już odsłania przed czytelnikiem „szwy intrygi”.

Wnioski p. „Grabca” są godne „Pregierza”. Dziwimy się tylko, że „Polityka” takie artykuły drukuje.

Radzimy natomiast wszystkim panom „Grabcom” czytać uważnie „Orkę”. Może i oni wreszcie uwierzą (niech po sobie nie sądzą), że mogą być ludzie przez których nie przemawiają żadne mafie, żadne intrygi i egoizmy klasowe. Że są jednak jednostki, dla których realna praca nad budową Polski potężnej i sprawiedliwej jest ważniejsza, niż grzebanie w pomylnych jamach politycznych odpadków.

Panów „Grabców” boli konsolidacja młodych, niepokojem też napawa porozumienie świata pracy (por. artykuły w „Polityce”). My, zdajemy dobrze z tego sobie sprawę, że pewnym ludziom zależy na wprowadzaniu do Polski bałaganu. „Jest to robota planowa, precyzyjna, zimna, zwykle perfidna, czasem pokrewna temu co na Powiślu określa się jako „mokra robota”. Toruje wyraźnie drogę do władzy w Polsce, wyraźnie rozbija, celowo pewne rzeczy zamaca...” Smutne jest jednak, jeżeli tą „mokrą robotę” robią ludzie, którzy chyba wiedzą, „że są narzędziami obcej rozgrywki”, którzy powinni dostrzegać „solidne polityczne nity, jakimi spaja się kierunek pisma z którym i oni współpracują”.

Andrzej Kunat-Milosz.

Klemens Lechnicki

BŁOGOSŁAWIONA „TRUDNOŚĆ” POLSKI

(na marginesie art. kol. A. Kunata - Milosza z Nr. 2)

Do Czytelnika

Czyż nigdy — drogi czytelniku — tak w tajemnicy przed samym sobą nie zatarł rąk z uciechy, nie zaklął radośnie: „jak to dobrze, — cholera — że nie wszystko w tej Polsce już jest zrobione! Jak to dobrze, że tyle jeszcze możemy, że tyle jeszcze musimy zdziałać i zbudować!”. Brak nam dróg, samolotów, plugów, kanałów, kolei, domów murowanych, miast, okrętów... Brak nam ubrań, zapalek, często chleba i mięsa... Brak nam książek, uniwersytetów, szkół zawodowych, a nade wszystko powszechnych... Brak nam tego i owego, tego i owego nasza chuda niezżywna sztucznym nawozem ziemia rodzić nie chce, tego i owego rodzi się za mało... Silna i niesprzyjająca jest ziemia nasza, moczary i groźny jest nasz los. Ale i my nie słabi; nie wychował nas przesył, atawizmy nasze to nie sybarytyzm, lecz walka i praca.

Boć przecie nie głaskał się los naszych pradziadów w straszne noce roku dwunastego; nie wesoło było pradziadom pod Ostrołęką, nie smakował im gościny chleb z czcią podawany przez chłopów Niemiec, Holandii, Belgii i Francji. Ciężkie i twarde było życie między Irukkiem, a Bajkałem, gorzka strawa codzienna naszych dziadów na dalekim Sybirze... A ojcowie śpiewali „Nie chcemy już od was uznania” i nie tylko kule moskiewskie lub niemieckie prześladowania, przerzedzały ich szeregi, bo nawet „Jak wrogów witali ich swoi”. Twardy i hartowny jest nasz rodowód ideowy; dziedziczymy nie słabość lub poddanie się „trudnym” losom, lecz mocne pięści, ztwardziałe serca, żelazną wolę, upór i konsekwencję. Nie chcesz nam ziemio nasza dawać tego i owego? — Za bary się z tobą weźmiemy, pójdziemy na udry, pazurami wyrwiemy, a tak i nie zdzierzysz, a tak i obdziedzisz wszystkich, nasycisz wszystkich, napelnisz miski wszystkim.

Powiadacie może, że nie wystrzeli z pomiędzy mchów sinych, palma kokosowa, ani na piaseczku mazowieckim, za sosenką karłowatą bawełna nie wyrośnie? Tak jest. Tego lub owego braku nie zaspokoimy sami, aleć mózgi chwalić Boga mamy giętkie, to zastępcze rzeczy wymyślić sobie na czas wojny potrafimy, a w czasie pokoju mocniej ziemię rodzoną przeorujemy, więcej nam da kartofli i pszenicy, buraków i węgla — za które nie tylko bawełny, ale kolibnego mlika nam nie zbraknie.

Są wprawdzie mocne przeszkody na naszej drodze — nie przeczę, ale to i lepiej, bo nasze położenie wymaga, byśmy serca wilcze, nie owcze w piersiach mieli. A ducha zdobywczego wykształcimy nie gdzie indziej, jak właśnie łamiąc przeciwności.

Palące kwestie

„Stare, wymierające, spróchniałe pokolenie nie tylko, że nie chce samo oglądać nizin polskiego życia, ale jeszcze zakłada młodym zasłony na oczy, które zakrywają, dobywające się spod ziemi, groźne języki ognia. Polityka strusia, chowającego głowę w piasek w obliczu grożącego niebezpieczeństwa”. (Andrzej Kunat Milosz „Trudna Polska”, „Orka” Nr. 2, str. 3). Dobrze. Przypuśćmy, kolego Andrzeju, że macie rację, że w istocie „stare, wymierające, spróchniałe pokolenie... chowa głowę w piasek”. Ale idziemy My — Młodzi, o których oswoździł powiedział: „Niech zapomną o nas, o naszych walkach i cierpieniach, niech idą na nowe życie, tam, gdzie czar więzienia ust nie krasi, lecz i jadu nie daje — niech idą swobodnie, zapominając o nas, by życie nowe tworzyć!”

Otóż my szukamy wszędzie, w myśl nauk Wodza „realite des choses” — patrzymy na rzeczywistość, chcemy ją widzieć taką, jaką jest w istocie. Odsłanianie nam tę rzeczywistość — Andrzeju — w barwach niewesołych. (Może z dodatkiem przesydy — po niżej). Trudno. Jest taka, jaka jest. Macie rację, że „z pod ziemi wydo-

bywają się języki ognia”. Strach czasem budzi w nas fakt, że gdy obrzymia ilość ludzi w Polsce nie dojada, że gdy jątrzenie kwestii żydowskiej i ukraińskiej grozi wybuchem, że gdy kwestia chłopska i młodzieżowa nabierają palącego wprost znaczenia — najważniejszymi zagadnieniami dla sfer odpowiedzialnych jest punktualne przychodzenie do biura i takie lub inne ustawienie płotów...

Pewno, że nie jest dobrze i bynajmniej nie chcę wybielać tragicznej naszej rzeczywistości. Obrzymie siły potencjalne narastające w narodzie, siły niezadowolonia i żądań zmiany, objawiające się czasem groźnymi, choć jeszcze na szczęście nie ogólnymi zaburzeniami (strajk chłopski) wzmagają się coraz bardziej i grożą, grożą wybuchem, który to może być początkiem końca.

Ale czyż są to zagadnienia nie do rozwiązania?

Sprawy te ogromnie przypominają mi kwestię powodzi w Malopolsce. Cieknie sobie maleńki Dunajec — kto go nie zna, myśli: — „oto, rzeczułka jakaś maleńka”, aż ni stąd ni zowąd wzbiera, buzuje się, rwie tamy, przekacza wały, niszczy, zabija, jest straszny. Dwa są sposoby zabezpieczenia się od tego postrachu: Pierwszy, to wały nadbrzeżne, które człowiek wznosi w celu obrony, wały, które w obliczu żywiołu jakże często okazują się półśrodkiem, które rozszalała, zdobywca, potężna woda jakże często znosi, rozrywa, unieściwia... Drugi — to tamy zabiegające rzece drogę w poprzek, postawione z wysiłkiem olbrzymim w miejscu chytrze obmyślanym, tamy, które z rzeki stwarzają system jezior o różnym poziomie. Tę różnicę poziomów wykorzystał człowiek, by groźny żywioł — synonim śmierci i zniszczenia, zamienił w światło — symbol życia i rozwoju.

Jeden system — wałów nadbrzeżnych, to środek obrony, defensywny; to środek strachu i obawy. Drugi — wyjścia niebezpieczeństwa naprzeciw, to środek ataku, ofensywny; środek męskiej śmiałości, młodzieńczej odwagi”.

Do tych dwóch sposobów walki z Naturą porównać możemy dwa sposoby podporządkowania sobie sił potencjalnych tkwiących w Narodzie. System wałów ochronnych, — to system państwa policyjnego, system Rosji Sowieckiej, może w pewnym stopniu Niemiec Hitlerowskich. System drugi — to Państwo świadomej, zdyscyplinowanej, jednolicie kierowanej „radosnej twórczości” — system Ameryki Rooseveltowskiej.

Ten system drugi musimy zastosować w Polsce. Musimy wyjść zagadnieniom naprzeciw. Groźne, potężne, niebezpieczne, błogosławione, bo wyrwywające nas z marazmu siły tkwiące potencjalnie w polskim chłopie, robotniku i młodzieży, musimy wyzwoić jednym potężnym zrywem świadomej i jednolicie kierowanej woli. Musimy wszystko postawić „va banjue”. Albo zwalimy się z trzaskiem na cały świat, albo zbudujemy potęgę, jakiej tenże świat jeszcze nie widział.

Nie jestem mesjanistą, ani nauczycielem. Pegaz musi zostać zaprzęgnięty do pluga. Zyto jakie się na tak uprawionej glebie zrodzi, nakarmi cały naród, jak biblijne kosze chleba.

Problem młodzieżowy

Takim typowym przykładem niech będzie zagadnienie młodzieży. Jest faktem niezbitym, że istnieje w Polsce wbrew logice obowiązującej w krajach odwiecznie wolnych, przepaść nie do zasypania między młodymi wychowanymi do życia w nowej Polsce, a starszymi, pamiętającymi „Czasy przedwojenne”. Faktem drugim jest, że te dwa pokolenia nie mają wspólnego języka, że różnica

*) Jest jeszcze system trzeci i najgorszy — pozostawienie wypadków swojemu biegowi, zdawania się na Opatrzność, chowania głowy w piasek. System ten, trwający w swym impotencjonalizmie, przypomina czasami środki rządzenia stosowane w Polsce.

między nimi zaznacza się specjalnie ostro, że „dogadać się” tak naprawdę jest niezwykle trudno. Faktem jest trzecim, wypływającym logicznie z tych dwóch poprzednich, że w życiu państwowym Polski penetracja młodych nie odbywa się w tym stopniu, w jakim odbywać się powinna. Starsze pokolenie nie ma do nas zaufania, obawia się dopuścić młodych do steru, który samo trzyma w rękach coraz bardziej słabnących, zastraszając z roku na rok, i to nienormalnie zarysowany przedział. Dwa są sposoby rozwiązania tego zagadnienia. Jeden, to stopniowe i spokojne przesunięcie odpowiedzialności na barki młodsze, silniejsze, lepiej przystosowane do nowych warunków. Sposób ten dzięki podstawie starszych, zrealizować się nie da. Zresztą stopniowanie „zmiany warty” mogłoby przesądzić szeregi młodego pokolenia niezdrową rywalizację, w czasie której często zapomina się, że nie posady czy kariera winny być celem głównym, lecz zorganizowana i rozłożona na etapy praca oraz zwiększenie stopnia odpowiedzialności.

Drugi sposób — to przełom rewolucyjny, w którego dniu cała odpowiedzialność spadnie na barki młodych. Ten sposób rozwiązania nie mógłby odbyć się bez wstrząsu i nie jest dla Państwa najbezpieczniejszy. Twierdzą jednak, że w stanie dzisiejszym, kiedy widać coraz bliżej ostatnią ścianę ślepej uliczki, tylko taki radykalny zwrot wyzwoić może blakające się samopas siły i zaprzęca je do budowy nowego, młodego, potężnego Państwa polskiego.

Słowem nie jest tak dobrze, by można sobie pozwolić na ostrożny i wolny zakręt. Musimy się zdobyć na ryzyko, oczywiście przemysłane głęboko, bo tylko tam, gdzie wszystko stawia się odrazu, wszystko wygrać można. Nie jest zresztą to ryzyko niczym wariackim. Tak się składa, że Polska nie ma nic do stracenia. Dla nas sprawa przegranej wojny, n. p., to nie jest jak dla Niemiec czy Francji sprawa tej lub innej prowincji. Te czasy minęły w wieku 17-tym. My, przegrывая wojnę, tracimy wszystko odrazu. Zbytnią ostrożność jest więc u nas szczególnie szkodliwą. Tchórzostwem bowiem i głupotą, jest ryzykowanie częścią, nie całością, jeżeli wiadomo, że w razie wyniku ujemnego i tak i tak całość się utraci, jeżeli wiadomo, że w razie powodzenia, jego rozmiar zależy będzie od rozmiaru ryzyka.

A powieść się musi. Wierzę najgłębiej w duszę polską, wierzę w siłę Narodu naszego, wierzę w jego pracowitość, karność i inteligencję, wierzę wreszcie w słusność naszej sprawy. I wy chyba wierzyćcie kolego Andrzeju, że przed nami jest słońce, nie noc, że przed nami zwycięstwo, nie klęska.

Dwa przełomy

Jeżeliś — cny czytelniku — przebrnął rozdziały powyższe, wtedy stwierdził zapewne, że przez usta moje przemawia modna dzisiaj ideologia „przełomu narodowego”, że — jednym słowem, — albo już jestem członkiem „Falangi”, albo się do niej powinienem natychmiast zapisać.

Stwierdzić więc muszę, że w moim rozumieniu, nie należy negować słusności jakiejś myśli czy planu tylko dlatego, że głosi ją ruch lub organizacja, z którą sympatyzować wogóle, lub łączyć się w szczególności, nie mamy zamiaru. Jest faktem niezbitym, że istnieją w życiu narodów chwile i momenty, które nazwać można „przełomowymi”. Wtedy to, pod wpływem jakichś zupełnie zewnętrznych — przeważnie — zdarzeń, narody łączą się, zespalają, „zestrzeliwiają” myśli w jedno ognisko — słowem podejmują nagle zryw ideowy i realizacyjny, który z jednej strony przepala i zmienia ich psychikę, z drugiej pozwala na osiągnięcie bardzo konkretnych i bardzo codziennych zdobyczy.

Tysiąc takich przykładów znaleźć możemy w historii. Przycoczę kilka z naszych dziejów: więc wszystkie

powstania; najazd i odparcie Bolszewików w r. 1920; Rewolucja majowa, w której zespolili się trzy zasadnicze idee Polski: polski państwowej, żołnierskiej i ludowej; wstrząs żalu, jaki przeżył Naród w maju 1935 r.

Cała sztuka rządzenia polega właśnie na tym, aby umieć takie wstrząsy i przełomy wykorzystać, uwypuklić, w nich momenty twórcze a zatrzeć anarchizmy, — słowem zsynchronizować indywidualne i spontaniczne odruchy i zaprząć je w łożysko pracy państwowej - twórczej. Nie jest to łatwe. Ale rząd, który tego nie potrafi, musi ustąpić, a to dlatego, że nie zdał egzaminu tak ze sztuki rządzenia, jak i ze znajomości duszy swojego narodu.

Z drugiej znów strony „Przełom narodowy”, tak, ja go rozumiem „Fala” i „Młoda Polska”, jest typowo endeckim pójściem po najmniejszej linii oporu. ONR z pod znaku tych organizacji mniema, że po dokonaniu „przełomu narodowego” wszystko odrazu zmieni się na inne, na lepsze, że Polacy natychmiast się przerodzą, że kraj pokryją fabryki, szkoły i miasta, Żydzi ulotnią się gdzieś w przestworza, a Ukraińcy na gwałt powiedzą o sobie: „Gente Ruthenus, natione Polonus sum”. Jakież „perpetum mobile” będzie za nas pracowało, a my miło i przyjemnie zaczniemy się bawić w „Polskę narodową”.

Ideologia ta przypomina mi jeden z najpiękniejszych i najbardziej dziecinnych momentów historii Polski: Noc listopadową roku 1830. Spiskowcy sądzili, że wstrząs, jaki przeżyje Naród na głos podchorążackiego zewu „Do broni” wystarczy najzupełniej na natychmiastowe przepędzenie Moskala, ukonstytuowanie Rządu, „oswobodzenie Polski”. To był typowy „przełom narodowy” pomyślany jednakże na znacznie większą skalę.

Ale istnieje przełom inny, przełom rzeczywisty. Można by nazwać go „państwowym”, bo ma służyć Państwu, a jego ścisłym, spokojnym i określonym celem podporządkować gorący entuzjazm i miłość rozbudzonych mas. Przełom jakże trudny! lecz w razie powodzenia jakże wspaniały i jedyny!

Tu wszystko jest określone, wyrachowane i obliczone. Entuzjazm ludu jest tym wspaniałym motorem głównym, niepowstrzymaną energią, która toczy się jak rzeka wezbrana. Rząd i instytucje państwowe są silnymi wałami przybrzeżnymi, nie pozwalającymi na marnotrawne rozlewanie się wody między lączy i mierzyny. „Przełom” jest tamą, zamieniającą energię mas, energią chaotyczną i często burzącą siłę państwowotwórczą, podobną elektryczności, która ra fabrykom daje życie, ludziom światło i skoordynowane działanie organów państwowych, cały współzależny organizm harmonijnie się rozwijającej Społeczności, jest tym tysiącem fabryk i osad wiejskich przygotowanych do elektryfikacji, które nie pozwalają energii elektrycznej marnować się.

W ten sposób oto zrealizować można słynne powiedzenie Wodza „Romantyzm w celach, pozytywizm w środkach”.

Niewolno nam zasklepić się w negacji smutnej rzeczywistości. Dzień dzisiejszy zestawiać zawsze musimy z wizją Polski jutra, a drogą, która ma połączyć te dwa wyobrażenia musi być realizacja pozytywistycznego postulatu „pracy organicznej”.

Młodzieńczy maksymalizm

Dobiegam do końca. Muszę jednak przed tym napisać słów parę polemiki, w ścisłym tego słowa znaczeniu, na temat Waszego artykułu, kolego Andrzeju. Rozumiem maksymalizm. Sam kilkadziesiąt wierszy wyżej sprecyzowałem szereg myśli, które można by nazwać maksymalistycznymi. Ale wartość prawdziwa krańcowości i radykalizmu polega na mocnej chęci natychmiastowej i dogłębnej przemiany rzeczywistości, nie na krańcowym ujmowaniu tego co jest. Uogólnienia, możliwe przy teoretyzowaniu, stają się niedopuszczalne w czasie przedstawienia stanu faktycznego. Wierzę, że istnieje rzeczywi-

stość obiektywna, i że jej generalizowanie przesłania to, o co całe życie walczył Józef Piłsudski — jasne widzenie „realite des choses”. A w Waszym artykule — kolego Andrzeju — serdeczna pasja i żalność spowodowana faktem, że Polska nie jest taką, jaką byćcie ją chcieli widzieć, deformuje właśnie stan faktyczny.

Więc po pierwsze jest grubą przesadą, jakoby jedna trzecia naszego Narodu głodowała. Nie chcę w niniejszym artykule przytaczać cyfr: W społeczeństwie tak agospodarczym jak polskie każdy człowiek operujący cyframi uważany jest natychmiast za drugiego Krzyżanowskiego, lub za godnego następcę ś.p. Wł. Grabskiego. Z drugiej strony jakże często liczbami starają się nasi publicyści pokryć braki w znajomości przedmiotu.

Po drugie poprawa gospodarcza jest faktem, którego negować nie można. Nie twierdzę, że dotarła ona wszędzie, tym niemniej ogół polskiego rolnictwa odczuł ją bezwzględnie. I ja, kolego Andrzeju, znam trochę wieś. Spotykałem na niej — kolego — nieraz chłopów zadowolonych i sytych. Częściej nawet niż się o tym mówi.

Po trzecie pamiętać należy, że poziom życia naszych Kresów Wschodnich podniósł się w porównaniu do stanu przedwojennego niebywale. Odybło się to w dużej mierze kosztem ziem zachodnich, lecz tym niemniej Kresy — może zbyt wolno — ale stale podnoszą swój sztandar życiowy. Oceniając wyniki dwudziestu lat Niepodległości, badacz Kresów

musi patrzeć na nie z punktu widzenia chłopca, którego życie obserwuje. Trudno przecież wymagać, by przez lat dwadzieścia znikły wszystkie bolączki. Chodzi o to, czy poprawa w stosunku do położenia dawniejszego nastąpiła, czy też nie. I ten fakt, mówiąc o „ponurach praktykach religijnych sekt na Polesiu” powinniście byli — Andrzeju — podkreślić.

Po czwarte jest wyrządzeniem wielkiej krzywdy stanowi urzędnicemu takie zdanie: „Oddaliśmy państwo w pacht wadliwie rozbudowanej biurokracji. Jest ono dla niej warsztatem „pracy”, który zapewnia emeryturę, — niczym ponadto”. Jest faktem niezaprzeczoną — kolego Andrzeju, że nasza Administracja niższa funkcjonuje bardzo dobrze, że nasz urzędnik pracuje bardzo wydajnie. Przerost biurokracji w Polsce jest wynikiem wadliwego systemu, który nie ustalił dokładnie zakresu kompetencji i odpowiedzialności. Każda kwestia wędruje u nas przez całą drabinę nim zostanie załatwiona, a jest to wina nie tego, że urzędnik traktując państwo jako warsztat pracy, zapewniający emeryturę boi się wziąć na siebie odpowiedzialność za załatwienie danej sprawy, ale przepisów, które wyraźnie zakazują takiego rozstrzygnięcia, które nie rozgraniczają dokładnie — jak zaznaczyłem — hierarchii kompetencyjno - odpowiedzialnościowej. Słowem wina nie leży w stanie urzędniczym, lecz w jego „górze”.

Zaznaczam już po raz drugi, że nie chcę wybielać polskiej rzeczywistości. Uważny czytelnik tego artyku-

lu znajdzie tu wiele zarzutów, które wrazie uznania ich za słuszne dyskwalifikują zupełnie regime obecny. Ale nie można patrzeć przez czarne okulary.

Cała wartość nas jako młodego pokolenia Nowej, Niepodległej, Państwowej Polski leży właśnie w realnym podchodzeniu do Polski takiej, jaką jest w istocie. Już Wypsiński — pierwszy nasz państwowiec — wołał, że nie chce Ojczyzny Chrystusa Narodów, lecz Państwa takiego, jakie mają inni; że chce polskiego Rządu, policjanta, wojska, racji stanu... Na tym właśnie musi polegać przewaga nas młodych nad pokoleniem naszych ojców, że my nie zrażamy się do Polski dlatego, że nie jest ona idealną, że nie jest stuprocentowo taką, jakąśmy ją mieć chcieli. Przeciwnie! — „Polsko — musimy zawołać — nie jesteś Bogu dzięki ofiarną męczennicą za innych; nie jesteś idealną, najlepszą. Nie wszystko w Tobie jest dobre, mądre, wspaniałe i mocne. Lecz tym więcej, że potrzebujesz naczęj pomocy, że nie możesz się obejść bez żadnego z Twych żołnierzy — oddajemy Ci nasze młode ramiona i mózgi, aby Cię wywyższyć gospodarczo, podnieść militarnie umocnić kulturalnie. Aby wszystko w Tobie było lepsze, mądrzejsze i mocniejsze. Nie idealne, bo ideał jest nieosiągalny, ale coraz bliższe do ideału. Realną wartością gospodarczą zabezpieczającą nasz byt, a wspaniałym rozmachem nowych, nieznanych planów i osiągnięć porywające nasze go ducha”.

Przeгляд teatralny

W ostatnim miesiącu działy się rzeczy bardzo dla naszego teatru charakterystyczne i, powiedzmy odrazu, niezbyt wesołe. Wszystko szło naopak: zdawałoby się, że Noc listopadową reżyserować powinien Schiller, powierzone ją Węgierce (Schiller tymczasem wystawił w Łodzi, co prawda po Nieboskiej... Królów Przedmieściu), doskonałemu reżyserowi z całkiem innej parafii; zdawałoby się, że dekoracje do „Nocy” powinien robić Pronaszko, nie Sliwiński, coż kiedy Pronaszko dał dekoracje do Cyrana; zdawałoby się, że... wiele jeszcze takich nieporozumień personalnych i nie tylko personalnych można by wliczyć.

Sprawozdań nie można jednak pisać z takich przedstawień, jakichby mogły być, przystąpmy więc do rzeczy.

Z „Nocy listopadowej” sprawozdania nie dajemy, należy go szukać w „Rozmowie o teatrze wojującym”, które zostanie zamieszczone w następnym numerze. Noc została wystawiona na jubileusz dwudziestopięcioletnia teatru Polskiego. Cokolwiek można powiedzieć o fuzji z „Bandą” i innych eksperymentach tego typu, trzeba przyznać, że w teatrze Polskim, o wiele częściej, niż w innych wielkich teatrach Warszawy, widziało się przedstawienia, które były Teatrem przez duże T. Teatr ten nie miał wyraźnej twarzy, był z założenia eklektyczny, ale w jego murach powstał, w największym stopniu, kształt teatralny polskiego dramatu romantycznego.

Poza „Nocą listopadową” pokazano nam w tym miesiącu w teatrach T. K. K. T. dwie sztuki francuskie.

Rostand i Mauriac reprezentują tę samą stronę „esprit gaulois”, nazwijmy ją uczciwą, ale reprezentują jej dwa przeciwne krańce, Rostand to bujna wewnętrzność francuska, wywodząca się od dramatów V. Hugo i dalej w głąb historii, Mauriac to potomek w prostej linii Sandhala.

O przedstawieniu Asmodeusza czekamy od powiedzi na jedno pytanie—czy dramat Mauriac zwraca nam te wartości, które sztuka jego utraciła, porzucając formę powieści? Odpowiedź jest negatywna: sugestywność opisu, analizy psychologicznej znika w dialogu, czasem coś tylko błysnie, już mają się zrealizować jakieś kształty, ale nigdy prawie do tego nie dochodzi. Zresztą temat jest tego rodzaju, że co chwila grozi sztuce stanie się romansem dość przeciętnego gatunku. Postać, która mogła dramat z tej atmosfery wydobyć — couture, nie spełnia niczego, jego demoniczność jest nicotna, sztucznie związana z Bogu ducha winnym guwernerem. Poza tym — zarzut natury oczywiście mniejszej wagi — autor porzuca niektóre postacie w środku drogi, nie wiedząc jakby, co z nimi zrobić (Mademoiselle). Trzeba mimo wszystko upamiętać, że jest to debiut Mauriac na tym terenie, może zapowiedziane tylko kształty się zrealizują, a głos stanie się silniejszy.

Obydwa przedstawienia, w teatrze Małym i w teatrze Narodowym, grzeszyły jednym: brakiem atmosfery, do której specjalnie sztuki francuskie nie mają u nas szczęścia.

W teatrze Małym była to wina przede wszystkim gry i dekoracji, w teatrze Narodowym — reżyserii.

Z dialogu w „Asmodeuszu” można wnosić, że sztuka dzieje się w Landach, i że, w znacznym stopniu dlatego wypadki układają się tak, a nie inaczej. Tymczasem zamiast moczarów i bagien — zobaczyliśmy dekorację, która z większym powodzeniem mogłaby reprezentować na scenie Giewont i która poza tym tak skracała scenę, że groziła, zdawałoby się, co chwila przyniesieniem domu p. Barthas.

Grano trochę według zasady, że jedne do Sasa, drugi do Lasa: Przybyłko-Potocka grała w zbyt wielkim stylu, zarówno dla malut-



kiej sceny, jak i dla roli tej ostatecznie bardzo zwykłej kobiety, której dano przeżywać uczucia nie na jej miarę. Bonecki znowu — jako couture — grał w stylu „zmnieszającym”, podkreślając mieszczańską tego demona, i umacniając nas w wątpliwościach: jakim cudem na taką wędkę łapia się nawet najmniejsza plotki. Bardzo przyjemnie, z dużą prostotą zagrał Wilamowski i wreszcie Kurylukówna — najlepsza bezwzględnie rola w przedstawieniu. Była od początku do końca taka, jaką Emanuela być musiała — począwszy od zewnętrznego wyglądu, a więc prześwietlenie wewnętrznym blaskiem, początkowe zmatowienie, które ustępowało przed zjawiającą się miłością.

W „Cyranie” zapomniano zupełnie o melodii tego poematu iberaterskiego. To, co było u Rostanda zawsze najważniejsze i co jedynie pozostało żywe: potoczność, melodyjność, fantazja — zniknęło. Aż dziwnym się wydaje, że te melancholijne, bezbarwne postacie snujące się po scenie o byle co sięgają do korda. Poza tym — kto może sobie wyobrazić Cyrana bez tyrady o szlachetnym nosie? A właśnie jej w przedstawieniu nie było.

Cyrano — Leszczyński pięknie umierał, nie umiał żyć na scenie. Tylko scena śmierci była godna zawadiackiego poety, poety może nie najlepszego gatunku, nie najprawdziwszego, ale zawsze poety. Rokšana Kajzerówny była właściwie przekonująca, ale nie była Roksaną Rolanda — précieuse (précieuse — to nie tylko „wykwintnista”), zamato w niej było dystansu między myślą, a uczuciem, między myślą, a słowem.

Leszczyński reżyser nie poszedł po jedynej możliwej linii wystawienia tej sztuki — linii nie realistycznej, a teatralizującej, linii romantycznej fanfaronady.

K. Br.

TEATR MAŁY: François Mauriac: Asmodeusz, przekład K. Wierzyńskiego, reż. M. Przybyłko-Potockiej.

TEATR NARODOWY: Edmund Rostand: Cyrano de Bergerac, reż. J. Leszczyński.



Ludwik
Fryde

Spowiedź Pisarza

Książka, o której będę tu pisał, nie jest nowością wydawniczą i choćby dlatego nie może stanowić przedmiotu „recenzji”. Nie o recenzję też mi chodzi; pragnę tylko zwrócić uwagę na ważność i aktualność tej publikacji, wydanej z górą przed rokiem, ale we właściwym czasie nie zauważonej i dziś już na polu zapomnianej.

Myszę o „Próbach” Stefana Napierskiego. Jest to zbiór luźnych aforyzmów, uzupełniony poematami prozą. Właściwą treść i ośrodek tomu stanowią aforyzmy. Dość je przetrząść, przyjrzeć się jednemu i drugiemu, by odczuć osobisty charakter książki. Pierwiastek osobisty przenika zresztą wszystkie utwory Napierskiego: poezje, krytyki i nawet przekłady. W omawianej książce dochodzi do kulminacji, to też można uważać ją za zbiór wyznań, za publiczną spowiedź pisarza. Spowiedź, a więc nie dzieło ukształtowane według reguł obiektywnych, ale chaotyczny zbiór myśli, notat, rozważań, podanych tak jak się rodziły, bez uporządkowania. Ten niedład jest nawet przyjemny dla czytelnika, który żeglując wzrokiem po stronicach książki jak odkrywca i zanurza się tu i ówdzie jak nurek; niespodziewanie wyławia raz i drugi cenną perłę. Ale jest też ujemna konsekwencja metody spowiedniczej; to mianowicie, że liczne sformułowania, żywe i ważne dla autora w momencie narodzin, dla czytelnika, który nie był świadkiem tego momentu są niezrozumiałe. Takie np. zdania: „Nietsche: wodogrzmost improwizujący” lub cytując z tej samej strony, „Nietsche: ten mlekiem lwim karmiony halucynat” wydają się nam tylko efektownymi frazesami. Zapewne wrażenie to pochodzi stąd, że autor nie zdołał zobiektywizować treści psychicznej; treść ulotniła się i utrwaliła się tylko zewnętrznie, pusty kształt myśli.

Istotną wartość „Prób” polega jednak na tym, że wyznania autora, choć nawskroś osobiste nie mają charakteru prywatnego. Sądy i spostrzeżenia odnoszą się nie tylko do niego (i autor zresztą siebie bezpośrednio nie wymienia). Są to wyznania typowe dla t. zw. intelektualisty, i bynajmniej nie tylko z tego pokolenia, z którego Napierski się wywodzi. Nie; również młodszy kandydaci na pisarzy, artystów i w ogóle „klerków” znajdują w tej książce wiele dla siebie. Dzięki bogatemu i precyzyjnemu aparatowi pojęć, pisarz umie nazwać wiele stanów duszy i fermentów wewnętrznych, które przeżywamy nie umiając ich sobie uświadomić. Co więcej: nie ogranicza się do n a z y w a n i a, do wyrzucania ze siebie nagromadzonych kompleksów, ale i sędzi, stawia diagnozy choroby inteligentkiej i jak gdyby uzdrowia, oczyszcza się. Jest to więc naprawdę coś w rodzaju spowiedzi, zaczynającej się przyznaniem do winy, a kończącej — oczyszczeniem.

pozycję autora, w najogólniejszym, ujęciu można określić tak: inteligent, „mózgowiec”, żyjący w świecie książek, poza rzeczywistością praktyczną, opłatany w fikcyjne ideały Piękna, Prawdy itp. spostrzega się nagle słabym, bezradnym widzem dramatu powojennej Europy. Ściany jego duchowego domku rozsypują się jakby to był domek z kart, albo jak teatralne kulisy, które udawały rzeczywistość. Pierwszym odruchem instynktu samozachowawczego jest p o z a b o h a t e r s k a: oto krocza tłumy barbarzyńców, a ja „klerk” bronię kultury, Prawdy, Piękna, Ducha ludzkiego. Ale ta poza może wystarczyć tylko tak długo, jak długo skrywa interes osobisty, w y g o d e — bo sam w sobie jest to frazes bez treści. Poza musi się załamać i klerk ulega uległemu zdekodowaniu, w dwóch kierunkach możliwych: albo wpada w sidła marksizmu i uległszy tej teorii wobec kultury, jako artysta, myśliciel, czy uczonej skazany jest na zagładę; albo zaciąga się pod sztandary rewolucyjnych ruchów mieszczańskich i z triumfem wyrzeka się sztuki i myśli, w szczególności intelektu jako zbroczenia psychicznego. Na tej drodze posuwać się nie można; albo się ginie, albo zwraca do po-

zaczku, do punktu wyjścia, przemilczanej przesłanki: *kim jestem, że pragnę naprawić i przebudować świat?* co stanowią w rzeczywistości, do jakiej sfery należą — nie jako mózg, tonący w fikcjach, które sam wytworzył, lecz jako pełny człowiek, jako ciało i psychika, reagująca tak lub inaczej, ale pewnie, jednoznacznie, w konkretnych obiektywnie danych sytuacjach życiowych?

Aby odpowiedzieć na te pytania, trzeba zdobyć się na szczerść i — na *krytycyzm względem własnej szczerości*; bo szczerść jest umiejętnością i sztuką. NajspRAWNIEJ umiemy przecież kłamać przed sobą. Dlatego aforyzmy Napierskiego robią często wrażenie gwałtu zadanego sobie; są to autoprowokacje, demaskujące własne nalogi emocjonalne i intelektualne. Śmieszne przesady senty-

mentalizmu i humanitaryzmu intelektualnego, zaszczepiane przez literaturę, kompleksy niedojrzałości psychicznej, sceptycyzm i tchórzostwo demaskuje autor bezlitośnie.

„Zgłośić wreszcie désinterésment wobec „sensu istnienia”, zabronić sobie zbytowej rozpusty dociekań, tego pocieszającego luksusu rozpaczki!”. „W noce bezsenne, nadziane robactwem urojów, w dniu, splecione od wysilków, w czasie, splecionym własnym naszym ograniczeniem, obwiniamy wszechświat o jego bezsens; obwiniamy raczej siebie o niepełnoletność; o nieumiejętność przystosowania się, o niezdolność pełni, którą bez trudu realizują ludzie dorośli, bez złudzeń, prości”. „Samotność od strony indywidualium — jest czymś pozornym; jest to poczucie wyłącznie socjalne”. „Trzeba, trzeba wrócić; rzeczywistość

bardziej jest fantazyjna; nie podobna już poprzestać na urojeniach mózgu, ni mająkach duszy, niesprawdzalnej duszy”.

Idzie o samozapoznanie, o odnalezienie siebie w świecie, w *konkretnym miejscu*, gdzie jesteśmy działając, pracując, współtworząc kulturę. To odnalezienie miejsca i następnie, *stopniowe realizowanie* coraz to wyższych i dalej sięgających zadań, jest oznaką i sprawdzianem dojrzałości, *zdobycia samowiedzy kulturalnej*.

Napierski pisze: „Artysta w trzech czwartych wypadków, to jednostka nie skonfrontowana z własnymi urazami, to nie zasługa dotrzeć do determinant, lecz kalektwo psychiczne nie dotrzeć. A wtedy jest się splecionym przez demony wnętrza; jest się jak naiwny olbrzym we śnie: Guliwer, usiłujący przebudzić się wśród liliputów, drzemający tytan zaś ma zawsze miarę karłów: — walcząc z nimi, lecz ich nie zwycięższy — *upodabnia* się im, niestety. I ze stwierdzenia tego faktu rodzi się bardzo ważny wniosek, „pierwszy eksport psychologii twórczości”: „Trzeba zgłębić siebie do dna — przynajmniej do dostępnych sobie determinant, a one oddalają się wciąż głębiej, w miarę, jak zaostrza się wewnętrzny wzrok — by móc cokolwiek wiedzieć o rzeczywistości, o przebiegu świata, o przybliżeniu jego istocie i mechanizm. Potem *rozpoczyna się* ucieleśniać sztukę; wtedy, gdy od tej wiedzy, która przenikała w krew, poczyna się *abstrahować*; to jest w ogóle *linia graniczna*, punkt zerowy termometru, podziłka na skali, próg twórczości — *na prawdę*. Zarazem jedyny bodaj sprawdzian (od strony psychologii), co jest sztuką istotnie, a co — wbrew najświetniejszemu pozorom i jednomyślniej choćby opinii — nią nie jest, gdyż być nie może”.

Stwierdzenia powyższe mają ogromne, przełomowe znaczenia *hygieniczne*. Bo młodzi pisarze, kiedy myślą (w artykułach) lub kreują artystycznie, *zazwyczaj przedłużają* w myśl i sztukę swą nie oczyszczoną „materię psychiczną”, nie przyczynając nawet, co to znaczy tworzyć, jak wielką, religijną tajemnicą tkwi w formie, nadającą myślom i wizjom piętno pozaludzkiej doskonałości obiektywnej. Pisarz, który nie zdobył samowiedzy kulturalnej i świadomości artystycznej, i zwracającą naiwnością chłopięcia skarży się, wybucha namiętnością lub bawi ładnymi słówkami — ten pisarz w ogóle nie dorósł do sztuki. „Fakty w sztuce: to przecie zawsze są preteksty”. Bo sztuka „rozpoczyna się tam, gdzie kończy się realność; to linia rozdzieleńca, od której można *rozpocząć* kwalifikację”. „Słowa w poezji muszą mieć pełne pokrycie rzeczywistości; ale niekoniecznie jest to rzeczywistość trójwymiarowa”. Myślenie do końca *z pierwszego lepszego punktu wyjścia*, myślenie bezinteresowne i do ostatnich przedłużeń, myślenie *poza* swój przedmiot, tak brawurowe i ryzykowne, że zwracająca się przeciw nam samym — to właśnie, o lirycy jest szkielet poezji”. „*Ars poetica*. Nie rozprowadzaj słów, jak wlokących się farb; nie rozcieńczaj ich olejem z konopi, ni promieniem gwiazdowego widma; nie rozładniaj jak barwników akwareli; *nie fałszuj...* Zagęść słowa, niech będą niematerialne, gładkie i pochwytnie; niech będą ciche i piorunujące jak kolory C z a n n e’a”.

Ograniczyłem się do przytoczenia i rozwinięcia kilku myśli z „Prób”. Dają one miarę tej książki. Zrodzona dość przypadkowo, jako zbiór luźnych notatek i uwag, okazuje się wcale nie przypadkową i ważną. Pomieszał autor ziarna z plewami, wielu spraw nie rozważył, wiele, mniej ważnych, może uwzględnił, ale to wynika z formy: *spowiedzi*, — która jednak nie tylko wyznaje grzechy i błędy, charakterystyczne dla całej grupy społecznej, ale nadto stawia diagnozę i prowadzi do uzdrowienia. „Próby” są cenną książką wychowawczą, która powinna odegrać pozytywną rolę w kształtowaniu się duchowym młodej generacji pisarskiej.

Gustaw Herling
Grudziński

„Wyprawy” Zagórskiego

Czytam „Cienie” — jeden z najpiękniejszych utworów zbioru i rośnie we mnie fala zdumienia, jak bardzo ten młody poeta — który przez niektórych wymieniany jest jednym z wielkich obok Przybyszewskiego, Brzokowskiego, Ważyka — *uległ sugestywnym czarom zwiędzeń i gusiel romantycznych*. Spokojne, regularne strofy przelewające się od takich obrazów, jak:

„Wieczór. Księżyc wyruszał zielony na łów.
Wzrosły wzgórze ścieliły. Huczał las sosnowy.”

albo:
„A kiedy na polaną wyrzą pyski lisie opodal odpowiada wilcze uroczysko...” są niewątpliwie krystalizacjami czystej romantyczności zsyntetyzowanymi z aksjomatycznym nieomal prawem tworzenia nowego pokolenia poetyckiego, postulatem panowania nad wizją; nie chaotycznego odpisywania przepływających jak strumień obrazów i odczuć, ale poddawania ich jakimś ogólnym kanonem nadrzędnego ładu artystycznego.

A przecież nie zawahałbym się powiedzieć, że jeżeli rzeczywistość „Wyprawy” powstała z inspiracji poetyckiej romantycznej to *ją niejako odrodziły*, przewietrzyły wiewem świeżego, ożywczego prądu powietrza.
Nastąpiło równanie odwrócone, jeżeli tak to można określić. Jeżeli bowiem poeci romantyczni, ośnieni fragmentem niezmięskiej wizji, rozmazywali ją i rozlewali w całe poematy — to u Zagórskiego następuje proces retracyjny. Długie wizje i obrazy w myśl formuł, reguł i cudownych zaklęć nowoczesnej sztuki poetyckiej prasowane są w małe kosteczki, niby bulionowe, zgęszczone i zciśnięte do granic ostatnich.

Łyka się te pigułki i rozpłaszcza w wodzie. I tak jak zaklęte przez tajemną magię poetycką, która jest tylko *prawem budowy celowej*, przywołujące światło te obrazy, które jej powstanie jako bodziec wyimaginowany, fikcyjny w postaci nieskażonej poprzedziły.

Taka oto jest ta romantyczność w najnowszym wydaniu. Rzekłbyś dzikie, stopą ludzką nietknięte uroczysko otoczone eleganckim pięknym, cementowym murem. I bardzo mi się to podoba.

Nie dotyczy to bowiem samej istoty romantyczności. Jej pełny walor poetycki nie tylko zostaje zachowany, ale emanuje świeżymi barwami i polskami. To tak jakby Reinhardt wystawił „Sen nocy letniej” na doskonałej scenie rotacyjnej, wyszukując przytym wszelkie możliwe i wynalzione triki techniczne. Gra opiera się na dwóch współelementach, właściwych aparatowi aperecyjnemu współczesnego widza czy czytelnika: raz — podświadoma tęsknota za silną dawką niezmięskiej poetyckości, jaką niewątpliwie jest zadymiona czarami i gusłami romantyczność; dwa — chłonność oparta na przesłankach współczesnej ekonomii i oszczędności wyrazu, skrótów, zabiegów mechanicznych. Często, trzeba we wspomnianych „Cieniach” spokojnych zresztą i potocznych natrafić na taką metaforę jak: „rumak w *cu-glach księżycy*, jak białe zjawisko” przemysłowe ile w tych paru słowach kondensuje ona obrazów i efektów, które trzeba rozładować — żeby zrozumieć o ile ta „nowa romantyczność” Zagórskiego odpowiada niniejszemu zaszeregowaniu.

Co więcej, bez obawy o posądzenie, że przesadzam — powiedziałbym: w stopniowym narastaniu odczuć płynących z lektury „Wypraw” dostrzegam nietylko „przewyciężenie aktualności tematu” (o którym tak pięknie pisał w swojej marginesowej uwadze o tomie Zagórskiego w 2 nr „Ateneum” p. Antoni Andrzejewski) ale o dziwo!, przewyciężenie romantyczności „sensu priori” — tzn. w jej dawniejszym rozumieniu. W słabym zresztą „Poemacie o roku 1914” zmienia się sceneria, przestawia się szybko dekoracje, w kącie idą jak niepotrzebne już rekwizyty dawne „uroczyska”, „księżycy”, „jezióra”, — i oto posłuchajcie dwóch chorów: „Chóru łodzi podwodnych” i „Chóru armat”!

„Skaczą nad nami fale i skaczą nad nami foki.
Płyniemy pod okrętami jak rekin pod wielorybem”.

Jest w tym pycha zwycięzcy — ujarzmi-ciel, olśnionego polyskiem stalowych kadłubów, niszczących dawny nietknięty i nieskażony urok głębin morskich, zarośniętych dzikimi krzewami i zamieszkałych przez nieznaną i dziwną gatunki stworów. Tam oto dotarła ekipa śpiewających stalowych łodzi podwodnych, zapatrzonych w wszystko widzzące oko lupy, „busole i sale”!

Ktoby jednak chciał tom Zagórskiego sądzić i odczuwać tylko po tych wyprawach do krajów bliższych, nie tylko że nie wyniesie z ich lektury właściwej dozy poetyckości, ale wyrobi sobie o nich zupełnie fałszywe pojęcie.

Trud dotarcia do właściwego jądra tomu Zagórskiego nie jest zbyt wielki i stokrotnie się oplaca. Muszą nas nań naprowadzić jakieś ślady. Bo czyż nie jest zastanawiające to, że jeden z czołowych poetów nowego pokolenia, dla którego poezja jest nie tylko łatwym „liryceciem” ale i gąszczem metaforycznym i pojęciowym przez który się trzeba przedzierać — prezentuje nam swoje wiersze tak pozornie proste i zrozumiałe? Mam wrażenie, że niejednego z nas to zbiło o tropu i nawet niektórzy doszukiwali się w nim spiesznie i gorliwie „skamandrytyzmów”, ustępstw, zmierzchu „wileńskiej awangardy”, zastygania w klasyceistyczne formuły piękna i t. d. (Objektem specjalnym stała się tu „Jedna podróż”. Produkt ogólnego nieporozumienia, które trzeba wyjaśnić. Niczego nie tłumaczy fakt, że „Jedna podróż” drukowana była w „Skamandrze” z czerwca 1935 r. I niech też porządnie zastanowią się ci którzy wpływ „Skamandra” doszukują się w schematach wersyfikacyjnych nad takim dostrzeżeniem: pokolenie „Skamandra” oddziela od nowego pokolenia poetyckiego nie strofokowość, ale *stosunek do materiału, który w poezji ma być przetworzony*). Rzecz natomiast wytłumaczyć możnaby o wiele prościej i jaśniej.

Odczuwam mianowicie, że ta prostota środków poetyckich — mocnych i celowych — świadomie osiągnięta została kosztem forsownego intelektualizowania tych wierszy. Wiersz „otwarty” w kontekście zamyka się często tajemniczo dla tych, którzy go chcą głębiej przejrzeć.

To są właściwe „Wyprawy” — wyprawy do „krajów niebieskich” — tajemnicza kronika *podróży poza sen*. Sen, pojawia się to słowo w tonie Zagórskiego kilkakrotnie — aż za często. Ale nie jest to tylko pławienie się w skojarzeniach i marzeniach sennych, notowanie interesujących eksperymentów, włączenie go po noc — („a noc to są wielkie przestrzenie”) eksploatawanie dzieviczego terenu.

O, nie. „Wiersze powstają z ognia, z w ogniu rzuconych mów”.

Próba wydarcia się poza sferę władztwa snu, wiara że morze tam dojrzy się losy świata, jego koniec i dalsze dzieje.

Osobliwa historiozofia poetycka, która już w „Przyjściu wroga” (nakład „Państwa Pracy” 1934) znalazła swój, mocno wprawdzie niedojrzały i kabalistyczny wyraz, a której „Wyprawy” są doskonałym ukoronowaniem. Z niej wywodzi się też ten prąd wysokiego napięcia, przepływający przez tom, od którego:

... „człowiek drży jak kret
oślepiiony przez cieniów przystań”.

Świat podwojony, jeden nasz, normalny — drugi ten, który się stanie, a którego cień olbrzymi obejmuje wszystko i wszystko zmienia.

W jego cieniu i pod jego urokiem powstaje ta poezja.

I jak każda wielka poezja sąsiaduje ona o krok z eschatologią.

Poezja w pięknym eschatologicznym skrócie zawarta w najlepszym utworze tomu w „Zdarzeniu”.

„Wyprawy” Zagórskiego to obok „Trzech zim” Miłosza najbardziej interesująca książka, jaką w ciągu ostatnich paru miesięcy czytałem.

J a n
Strzelecki

Zdradzonny Śląsk

Mimo, że książka Haliny Kraheńskiej*) nazwana jest przez samą autorkę powieścią, charakter jej i wymowa zbliżona jest bardzo do „Polskiego Strejku”. Polski Strejk nie był powieścią, był dokumentem, był literacko opracowanym protokołem, zawierającym w swoich kartach akt oskarżenia inny, zupełnie inny od tego, który sporządzono przeciwko autorce polskiego „J'accuse”. Dokumentem tego samego i tej samej wagi gatunkowej jest „Zdrada Heńka Kubisza”.

Dokumentem, który każdą swą literą, każdym słowem i każdą stroną przeczy tytułowi, Heńka został zdradziony. Zdradzono jego, jego ojca i stryja, żołnierzy powstań śląskich, zdradzono tysiące robotników, którzy bagnietami rysowali granice Polski na mapach komisji Aljanckich, którzy do urn plebiscytowych wlać krew trzykrotnych powstań jako próbę polskości Ziemi Elżbiety. Tytuł powieści Gojawiczyńskiej nasuwa się mimowolnie podobieństwem swego tragicznego finału. U Gojawiczyńskiej oszaleli głodem górniczy, Sroczyński i Śpiroki, prą masy, z kobietami i dziećmi w stronę granicy za którą widać przez dymiące fabryczne kominiki: Śląsk niemiecki.

I strażnik Piontek, pojawiający przy czynności tej wędrowki „ciska o ziemię karabin i wrzeszczy „w szale, wściekłości i wzgardzie: To żem w powstaniu był, pierony! W Lipsku - m, w skrzyni niemieckiej za powstanie gnął. A bodajże ście zcześli! A bodaj was”.

Strażnik Piontek, powstaniec rzuca na tych „zdrajców” rozpaczliwe przekleństwo. „Albowiem nie ma chyba nic gorszego, niż tak z ziemi swojej uchodzić”. Książka Kraheńskiej kończy się nie przekleństwem, lecz samobójstwem Heńka, wciągniętego beznadziejnością głodu, i bezwzględnością kłamstwa do sprzyśnięcia hitlerowskiego na Śląsku. Heńka sam wymierza sobie sprawiedliwość „bo poblądził strasznie i haniebnie”, jak pisze w liście z więzienia do rodziców. Ale kto wymierzy sprawiedliwość za niego? Za tysiące takich jak on, którym głód uczynił względnie wszystkim pojęciem?

I kto będzie siedział na ławie oskarżonych? Kto zdradził Heńka Kubisza?

Odpowiedź na te pytania wypisana jest na każdej stronie książki Haliny Kraheńskiej.

Nie chodzi tu o odpowiedzialność za głód, za bezrobocie. Trudno obarczać kogokolwiek, jakkolwiek grupę ludzi winą za ten stan rzeczy, za wygasłe piece, za mleczanie fabryki, przymusowe świętówki, trzy razy na tydzień, za poobcinane z dymu kikuty kominów. Oskarżanie poszczególnych jednostek, byłoby dziecinadą i demagogią. Śląsk, z ekonomicznego punktu widzenia jest terenem działania zjawisk gospodarczych, i chcąc szukać winy trzeba oskarżać ustrój, nie jednostki, trzeba badać nie tylko stosunki polskie, ale światowe, z którymi Śląsk jest silnie związany.

Wina i kara w tym protokole, Śląskiej prawdy, jaką jest książka Kraheńskiej związana jest z bezrobociem Heńka Kubisza tylko pośrednio.

Oczywiście, że gdyby Heńka miał pracę, gdyby głód, bezbarwność i bezcelowość życia nie znieczulały jego uczuciowości, nie przelamały w nim wszelkiego oporu sumienia, nie wzbużyły w nim niechęci do mającego pracę stryja Ernesta - to nie poddałby się nigdy namowom Hansa. Ale bezrobocie Heńka stwarza tylko tło psychiczne zdrady, tłumaczy nam jego załamanie. Oprócz tła psychicznego, istnieje tło realne, które samo nie wystarczy do wprowadzenia na drogę zwrócenia z polskością, zwątpienia w Polskę inną, w Polskę powstańczego pragnienia, lecz w połączeniu z bezrobociem stwarza ciężar przynajmniej straszny, duszący nie do wytrzymania. Tym tłem realnym jest życie Urbanków i Galewskich, dawnych studentów z Polski, oficerów

powstania, przygotowujących je po robotniczych chałupach — a dzisiejszych dyrektorów przedsiębiorstw, rad nadzorczych, którzy swym teraźniejszym życiem przeczą i przekreślają piękną i trudną przeszłość. I to właśnie oni zdradzili Heńka Kubisza.

Zdradzili Śląsk swojej powstańczej młodzieży.

W fabrykach przedwojennego Śląska dyrektorami byli Niemcy. Niemcami byli urzędnicy.

Koncerny nie nazywały się Huta Batory, czy Królewska, tylko Interessengemeinschaft A. G. Rattovitz lub Donnesmarck czy Friedenshütte. Polskość rozbrzmiewała pod ziemią, w korytarzach szybów węglowych, śląskimi „pieronami” i „pionczkami”. Powierzchnia była niemiecka. Ziemia była polska. I różnica dzieląca niemiecką górę od polskiego dołu była nie tylko różnicą narodowościową, była również różnicą społeczną. Przepaść, dzieląca dół i górę tworzyła nie tylko różnicę mowy, ale również, czy przede wszystkim różnicę socjalną, różnicę dążeń i różnicę potrzeb. Były na Śląsku oddziały niemieckiej socjaldemokracji, ale wśród robotników polskich nie miały powodzenia, zresztą liczebność ich na Górnym Śląsku w jego dzisiejszych polskich ramach była znikoma. Powstania śląskie zrywały się nie tylko przeciwko uciskowi narodowościowemu, wyrosły nie tylko z posiewu Karola Marxa, Polska miała być nie tylko polską — miała być również sprawiedliwą, braterską i wolną. Podział na górę i dół społeczny miał się zmienić w podział na kierowników i wykonawców zbiorowej pracy. Tysiące Kubiszów walcząc w powstaniach wraz z dziesiątkami Galewskich i Urbanków dążyło do Polski — z tej braterskości walki miała powstać braterskość pracy. Walki ucichły. Stosunki pracy nie zmieniły się w żadnym szczególe.

Galewscy zastąpili dyrektorów niemieckich, ale przejęli od nich nie tylko funkcje, przejęli od nich również sposób życia. Z wkroczeniem do biur zarządów fabryk wkroczyli w inny świat. Stworzyli znowu górę, odcięli się od piękna swoich powstańczych tradycji, które nieustannie pokrywał zwykły, fabryczny dzień, zwykłe prywatne sprawy zwykłe banalne życie. Założono wprawdzie Związek Powstańców, w którym co pewien okres czasu odbywały się wspólne zebrania Urbanków i Kubiszów, ale na jednym z nich gdy stary górnik Bomba skarżyć się zaczął na panujące stosunki i gdy zaczął odczytywać korespondencję Śląska „Opozycyjnej”, „Gazety Robotniczej”, opisującą w krytyczny sposób warunki pracy na Śląsku, Urbanek zebranie zamknął, krzyżąc coś o opozycyjnych bredniach i bolszewickim gadaniu. — Coraz szerzej rozwierała się ryna pomiędzy zarządem a robotnikami ze związku powstańców, coraz silniej dawała się odczuć zdrada Urbanków i Galewskich. Widok robotnika był dla nich wyrzutem sumienia, uwierającym wspomnieniem długu młodoci. Witali się niby jeszcze i spotykali, ale z wymuszonym uśmiechem i udanym pośpiechem.

Rysę różnicy społecznej wypełnił z jednej strony fałsz, z drugiej gorzycz. Na górze nie zmieniło się, poza narodowością dyrektorów, nic, na dole nastąpił głód, bezrobocie, nędza.

Beznadziejność życia osłepiła Heńka, zasłoniła mu wszystko, co nie było pracą, zmieniła jego stosunek do starych, upartych polskością powstańców: ojca i stryja.

Pracę dawał mu Hans, dawny kolega ze szkoły w Buchaszu, działacz hitlerowski na Śląsku, ukrywający swoją prawdziwą robotę za ogólnikowymi frazesami. Heńka, tonął w błocie, nędzy, uchwycił się tej brzytwy. Wstręt do samego siebie kazał mu potem zabić się, już w więzieniu, przed zapadnięciem wyroku.

Tego wstrętu nie odczuwał ani Urbanek, ani Galewski. A przecież oni też zdradzili Śląsk, zdradzili Polskę,

bo ich życie pchnęło Heńka w zwątpienie, ich postępowanie zrodziło w głowach starych górników myśl, że przecież za Niemca lepiej bywało.

Oddzieleni kratami ogródków przy swoich willach od tragiczności życia bezrobotnych, od nędzy Zawiercia czy Czeladzi zapomnieli o swojej dawnej z górnikami wspólności nie interesów a pragnień i dążeń.

Stali się zjadaczami chleba, którego dla nich dostarczyły w nadmiarze szyby śląskich koncernów. Czasami, budzą się w nich jak artretyczne bóle, obrazy z przed kilkunastu lat, echa własnych słów, którymi porywali do powstania robotnicze masy Kubiszów i Blekotów, ale poobiednia drzemka i miękka ręka żony łagodzi w nich te pomruki przeszłości. Oskarżenie?? Nie. Kraheńska nie oskarża. Pokazuje tylko ze smutnym uśmiechem, jak łatwo spodlec, samemu nie wiedząc o tym, jak łatwo spaść z wysokości młodzieńczych uniesień, na płaskość zwykłego dnia zmieniającego godziny na tysiące złotych, na tak zwany zapewniony byt z ograniczoną odpowiedzialnością za słowa młodoci. To jest zagadnienie które powstaje nie tylko na tle śląskich kominów, ono narasta w każdym z nas liczbą zerwanych kartek z kalendarza. Kraheńska nie szkicuje psychologii tej szalonej zmiany. Galewski z powstania na pierwszych, staje się dla nas karykaturą na ostatnich stronach. Bo Galewscy są tylko dekoracja

do zdrady Heńka. O nich samych warty napisać powieść, nie związaną z żadnym Śląskiem i z żadnym powstaniem, tylko poprostu z człowiekiem. I trudno nie dać się ugiąć myśli, czy na kartach takiej powieści nie znalazłby każdy z nas fragmentów własnego życiorysu, — utopienia się w zwykły, prywatny dzień, którego godziny obłożą nas nieświadomą podłością.

Stanisław Baczyński w słowie wstępnym pisze, że dzisiejsza książka, protokół losy zwykłego, przeciętnego nawet człowieka, staje się czynnikiem dynamizującym psychikę czytelnika w sensie zmuszania go do myślenia, do samodzielnego wyciągania wniosków z przedstawionej w nich społecznej prawdy. „Dynamizującym” w sensie najszlachetniejszym — strącania łusek obojętności i niewiedzy, stawiania znaków zapytania nad naszym własnym życiem, nad konsekwencjami myślenia i niekonkretnością pracy. Książki te uspołeczniają poprostu czytelników, rzucają przed ich oczy obrazy rzeczywistości w naturalnych barwach Budzą świadomość społecznego współżycia i wypływających z tych obowiązków. A to jest chyba tendencja najszlachetniejsza.

*) Halina Kraheńska — Zdrada Heńka Kubisza, wyd. Nowej Biblioteki Społecznej, W-wa 1938, słowo wstępne St. Baryńskiego.

Ankieta
Gospodarcza

„Liberation” — pismo organizacji „Jeunes Equipes Unies pour une Nouvelle Economie Sociale” ogłosiło ankietę ekonomiczną, adresując ją do wszystkich młodych, członków organizacji politycznych, syndykalistycznych, filozoficznych i kulturalnych. Ciekawa treść tej ankiety, oraz chęć porównania jej wyników wśród Francuzów i Polaków, skłoniła nas do ogłoszenia jej w języku polskim i skierowania jej do młodych obywateli Polski.

Uwaga: termin nadsyłania odpowiedzi do redakcji ekon. „Orki”: 15 maja 1938 r.

*

1. Czy wszystkie bieżące problemy państwowe i międzynarodowe mają przyczynę ekonomiczną?

2. Czy myśli Pan (i), że kryzys ekonomiczny, obecnie przeżywany, powstał z nieprzystosowania się życia społecznego do postępów techniki.

3. Postęp techniczny powoduje pośrednio bezrobocie.

Czy nie należy zwalniać pracowników starych z pracy i w ten sposób zlikwidować bezrobocie młodych?

Czy pracownicy powinni sami oszczędzać i w ten sposób zapewnić sobie byt, w razie niemożności pracy, czy też Państwo powinno ich przyjmować do swych przytułków?

Czy widzi Pan (i) jeszcze inne wyjście?

4. Przedsiębiorstwa prowadzą propagandę, by sprzedać jaknajwięcej swych towarów. Jak Pan (i) myśli, czy ludzie mogą kupić więcej tego dobra, nie zmniejszając kupna in-

nych dóbr? (mimo, że ich dochód nie zwiększa się stosunkowo).

Co Pan (i) sugeruje by dochód ten zwiększyć?

5. Czy uważa Pan (i) za słuszne stwierdzenie, że: Całość produktów, którymi dysponuje dany kraj, w pewnym określonym czasie, — odpowiada możliwościom kupna obywateli tego kraju?

6. Czy widzi Pan (i) możliwości zaradzenia kapitalnemu paradoksowi, że pewna część produkcji w świecie jest niszczone, gdy znaczna część ludu — ma potrzeby niezaspokojone?

7. Jaka jest użyteczność prawnego obowiązku dostarczania obywatelom pracy, gdy wynalazki techniczne — zastępują powoli ręce ludzkie?

8. Czy słuszne są nawoływania powrotu na ziemię, gdy produkty rolne są tak liczne, że istnieje konieczność ich niszczenia? (rzecz aktualna we Francji — nas interesuje zagadnienie niszczenia).

9. W jaki sposób kraj może odrestaurować swój handel zagraniczny — gdy wszystkie kraje zamykają swe porty, organizując własny przemysł? A jeśli „prosperita” zależy od tej restauracji handlu międzynarodowego — to czy wobec tego nie będzie jej można nigdy otrzymać?

10. Czy zna Pan (i) program polityczny, ekonomiczny — zdolny do rozwiązania powyższych problemów? Jaki?

*

UWAGA. Wyniki tej ciekawej ankiety w numerze 1 czerwca.

Wszyscy nadsyłają odpowiedzi!

Redakcja ekonomiczna
»Orki«

WYDAWNICTWA
NADESLANE

Powieść.

Sigurd Elkjaer — Między morzem a fiordem, powieść z duńskiego, przełożył Stanisław Sawicki, wyd. Książnica Atlas, 1938 r.

Jan Wiktor — Wierzyby nad Sekwaną t. 2, wyd. Książnica Atlas, 1938.

Halina Kraheńska — Zdrada Heńka Kubisza, powieść, słowo wstępne Stanisława Baczyńskiego, wyd. Nowej Biblii. Społecznej, W-wa 1938 r.

Tarleton Rayment — Dolina nieba, powieść, przełożył z angielskiego Józef Birkenmajer, wyd. Książnica Atlas 1938 r.

Edward Tomaszewski — widmo niedźwiedzia, opowiadanie historyczne z XIV w. wyd. Książnica Atlas.

Wanda Dobaszewska — Tam gdzie się serca pała, powieść, wyd. Rój 1938.

Poezje.

Tadeusz Holuj: Płonące ścieżki, Kraków, wyd. K. M. A.

Jan Bolesław Ożóg: Powrót wnuka, wyd. „Okolica Poetów”.

Alfred Witzner: Ślady czasu, wyd. F. Hoesick, 1938 r.

Adam Kowalski: Wiersze o Komendancie, z linorytami Artura Horowicza, wyd. Głównej Księgarni Wojskowej, 1938.

Jan Kasprzowicz — Wiersze wybrane, wyd. J. Mortkowicza 1938 r.

Leopold Staff — Wiersze wybrane, wyd. J. Mortkowicza 1938 r.

Dramat.

Georg Apfelfeld: Etap, Lwów.

Publicystyka.

Kirimli Yigit — W odpowiedzi ukraińskim imperialistom, Wilno, 1938.

Karol Grycz-Smiłowski — Nacjonalizm a religia, Kraków, wyd. „Wolna Myśl Religijna”.

T. Augustowski i I. Lipowiecki — Kryzys Ustrojowy, Poznań 1938, wyd. Z. M. P. „Jedność”.

Reportaż.

Zofia Kossak — Laska Jakóbowa (Jakobstaf) — wrażenia z V Jamboree, W-wa 1938.

Jerzy Ostrowski — Widły Wisły i Sanu, wyd. Rój, 1938 r.

Biografia.

Janusz Korczak — Uparty chłopiec, życie Ludwika Pasteura, wyd. J. Mortkowicza, 1938 r.

Felietony.

Jalu Kurek — Myślom ciasno, Kraków 1938, skład główny Gebethner i Wolff.

Zygmunt Nowakowski — Lajkonik, wyd. Książnica Atlas, 1938 r.

Ciekawa rozmowa

(wywiad z Amerykaninem)

JAK wygląda modny u nas problem etatyzmu za oceanem? Czy w Stanach Zjednoczonych wogóle ten problem istnieje? Z tymi pytaniami zwróciłem się do p. Czesława Bieleckiego, Polaka mieszkającego stale w Ameryce, a przebywającego od kilku miesięcy w Warszawie.

— Proszę pana — rozpoczął mój rozmówca — kwestia etatyzmu w Stanach nie istnieje, tego problemu wogóle tam nie ma. To kraj inicjatywy prywatnej, która jest uważana za rzecz tak naturalną, że o innym systemie wogóle się nie mówi. Co innego prądy, które dążą do poddania inicjatywy prywatnej pod kontrolę państwa. Te kierunki, których wyrazem jest polityka Roosevelta są silne, a nawet bardzo silne. Polityka Roosevelta to polityka kontroli, zresztą jak na Stany bardzo radykalna.

— Jeżeli już mówimy o Roosevelcie, jak się wobec jego zarządzeń zachowała opinia amerykańska?

— Społeczeństwo amerykańskie można podzielić na trzy grupy. Pierwsza to arystokracja; arystokracja

familijna, będąca potomkami rodzin pierwszych kolonistów — to ma znaczenie bardzo małe; i arystokracja finansowa. Oczywiście ta sfera ustosunkowała się do Prezydenta i jego „New Deal” (nowe rozdanie kart) negatywnie. Druga sfera, to sfera mieszczkańska, na którą składają się fabrykanci, kupcy i t. p. Tutaj zwolennicy nowej polityki stanowią połowę sił. Wreszcie trzecia sfera: pracownicy. Tu Roosevelt ma poparcie całkowite. Jego wybór pomimo kontrakcji finansjery, rozporządzającej ogromnymi środkami, stanowił bezsprzecznie tryumf tej części społeczeństwa. Zresztą polityka obecna uchroniła Stany przed przykrymi komplikacjami natury społecznej, które niewątpliwie wystąpiłyby w ostrej formie. Niech pan pamięta, że w Stanach jest 11 milionów bezrobotnych, i że ubezpieczenie społecznych niema (obecnie powstają dopiero organizacje ubezpieczenia emerytalnego). Otóż rząd począł stosować zapomogi t. zw. „Relief”. Przewodzone są w formie odpowiadającej naszym robotom publicznym (Projects). Odbywa się to w ten sposób, że bezrobotnym daje się pracę, placąc określoną stawkę. W praktyce

ce jednak bezrobotni otrzymują często te stawki nie pracując w całym tego słowa znaczeniu.

— I to te zarządzenia spowodowały taką opozycję?

— Tak, ale naturalnie i te, które wprowadziły wspomnianą już kontrolę działalności prywatnej. Np. wydane zostały zarządzenia, które ograniczyły w znacznej mierze grę na giełdzie. Te zarządzenia są jak na Amerykę bardzo radykalne. Jeszcze kilka lat temu uważane by były za komunizm. No, dzisiaj już je zrozumiano, jednak nie mogą się z tym zgodzić. Amerykanie są, jeżeli chodzi o formy społeczne, polityczne i gospodarcze, bardzo konserwatywni.

— Jakto? W naszym mniemaniu Amerykanie są prostrym szczytem postępu.

— To są stare pojęcia. Tak, dawniej istniała silna ekspansja, ale dzisiaj każdy myśli tylko o teraźniejszości. Powiem więcej, że raczej jest tendencja kuczenia się.

— A czy ze strony pracowników, to znaczy związków pracowniczych niema dążenia do ograniczenia prywatnej formy gospodarki?

— Nie, zupełnie tego niema. Ist-

nieje cały szereg związków pracowniczych: związki niewykwalifikowanych i naturalnie związki zawodowe, ale im chodzi tylko o obronę przed wyżyskiem. To znaczy, godzą się na obecny stan rzeczy, chcą jednak, aby życie gospodarcze było kontrolowane przez państwo, aby państwo nie dopuszczało do krzywdy pracownika. Nieliczne tylko związki przeciwstawiają się obecnemu systemowi, ale nie są to też zwolennicy etatyzmu, a raczej socjalizacji.

— Jeżeli już doszliśmy do tego, to chciałbym jeszcze na marginesie spytać Pana o kwestię komunizmu w Stanach.

— Partia komunistyczna jest legalna, ale bardzo nieliczna. Jeżeli chodzi o jej rozpowszechnienie, to obejmuje przeważnie żywioły żydowski i dzięki temu ma w swoich rękach trzy centra oddziaływujące na opinię publiczną, t. zn. prasę, radio i kino. Jednak pomimo to, wpływy komunistyczne w społeczeństwie amerykańskim są znikome. Można powiedzieć, że w Ameryce, kraju drobnej własności, komunizm nie ma najmniejszych szans rozwoju. Kilka lat temu, chcąc zdyskredytować w oczach opinii jakiś strajk czy zaburzenie robotnicze rozpuszczano wieści, że robia to komunisty. Wtedy już było wiadomo, że opinia zwróciła się przeciwko tym pseudo komunistom. Dzisiaj już tego niema. Zorientowano się, że te pogłoski o komunistach, to była błaża.

— Czy teraz nie mogłoby mi Pan powiedzieć swoich uwag na ten sam temat, ale w odniesieniu do Polski?

— W Polsce odrazu widać, że inicjatywa prywatna kuleje. Tu rzeczy istotne gospodarczo to rzeczy państwowe; całe nastawienie w Polsce jest właśnie etatystyczne. Jest to niesłuszne. Prywatne gospodarstwo znacznie lepiej pracuje niż państwowe. To jest zresztą oczywiste, że gdy pracuje w swoim przedsiębiorstwie jestem nim bardziej zainteresowany, niż pracując w cudzym, w tym wypadku państwowym.

— No, ale argumenty broniące etatyzmu? Przede wszystkim, że niema wyżysku, gdy zamiast prywatnego przedsiębiorcy występuje państwo i wiele innych argumentów — nie chcą ich wyliczać.

— Bez względu na cały szereg tych argumentów jest słuszny. Nie o to zresztą chodzi. Niechby w Polsce istniał etatyzm, niechby panował ustrój totalny. Jestem zresztą ich przeciwnikiem, ale uważam, że byłoby wtenczas znacznie lepiej niż jest teraz. Byłaby polityka konsekwentna. U nas jest brak konsekwencji i to jest najgorsze.

— Przede wszystkim istnieje 8-letnia szkoła o charakterze obowiązkowym. Potem czteroletnie gimnazjum. Te szkoły są całkowicie bezpłatne. Uczniowie dostają też bezpłatne pomoce naukowe. Następnie istnieje cały szereg liceów przygotowawczych do szkół wyższych. Każdy przedmiot studiów ma swoje odrębne liceum. Np. liceum, po którym idzie się na prawo trwa dwa lata, natomiast przed wstąpieniem na inżynierię niema żadnego liceum. Inżynieria jest zresztą, odwrotnie niż w Polsce, jednym z najłatwiejszych wydziałów. Medycyna natomiast trwa 10—12 lat. Jeżeli chodzi o szkoły zawodowe, to istnieje ich ogromnie dużo rodzajów; wstępuje się do jednego ze szkół początkowej, do innych po skończeniu gimnazjum. Na uniwersytetach istnieją wydziały gospodarcze. Zasadniczo kurs trwa cztery lata (dwa lata ogólne i dwa — specjalizacji). Po tym okresie czasu dostaje się dowód w rodzaju naszego dyplomu zawodowego. Po dodatkowym roku studiów otrzymuje się niższy stopień naukowy (odpowiednik naszego magisterium), a jeszcze po jednym roku doktorat.

Nauka jest bardzo droga, ale za to istnieje wiele stypendiów dla zdolnych studentów. Zresztą dyplomy różnych uniwersytetów oficjalnie traktowane jednakowo nie są w praktyce uważane za równorzędne. Ważnym jest, kto skończył jaki uniwersytet. Czasem lepiej jest przebyć tylko dwa lata w jednym z zakładów, niż uzyskać dyplom w innym. O ile dawniej dyplom naukowy był raczej zbytkiem, to dzisiaj jest on ogromnie rozpowszechniony i Stany przechodzą teraz okres ogromnej nadprodukcji inteligencji. Np. w jednym z pism nie było pracownika bez dyplomu naukowego. Wszyscy prawie reporterzy posiadali doktoraty filozofii. Pod tym względem jest w Polsce znacznie lepiej — kończy swoje ciekawe uwagi p. Bielecki.

Ludwik E. Straszewicz.

Jan Strzelecki

PRZEGLĄD PRASY

Interpelacja posła Budzyńskiego w sprawie ujawnienia nazwisk członków łóż masonskich w Polsce nie wywarła oczekiwanego przez jej autora skutku. Masoni, jak to posł Budzyński niebezpiecznie udowodnił, ukrywając się po lasach, a raczej „Lasach Państwowych” i z tej zresztą zamaskowanej białoczerwonymi tabliczkami kryjówki kierują nieustannie swą destrukcyjną robotą, która — inspirowana przez agentów Karunkelsteina, vel Bluma, znanego hochsztaplera międzynarodowego zatrudniającego się w wolnych od rozświetlenia miazmatu chwilach sprawowaniem z ramienia prezydenta Francji funkcji rządzenia tym krajem — postępuje żywo naprzód. Na przykład w zeszłym roku, podczas tygodnia lasów wydano afisz, głoszący, że lasy sprzyjają obronie przeciwlotniczej. Jeszcze więc rok temu lasy stanowiły pozytywny czynnik państwowotwórczy. Dziś opanowane są mackami mafii, których przedstawiciele wyjdą niedługo na ulicę z rewolucyjnym śpiewem — szumią jodły na gór szczyty — na ustach.

Ponieważ nazwiska członków polskich elementów destrukcyjnych nie zostały oficjalnie ujawnione, praas z pod znaków mieczyka z dewizką zadawała się, jeżeli chodzi o krajowe stosunki, ryczałtowym chrzczeniem wszystkich niedających się przesiąknąć wytwarzaną przez nią atmosferą ludzi mianem żydokomuny. Jednostki nie są wymieniane. Zato w odniesieniu do osobistości zagranicznych nazwiska sypią się jak z rękawa. Cały parlament francuski — za wyjątkiem może jednego posła bretońskiego Bietrix, który wywołał niedawno awanturę na jednej z sesji, argumentując wymownie swe rzeczowe zarzuty przeciwko rządowi Bluma okrzykiem „A bas les Inits” — to pełnomocnicy paryskiej loży wielkiego wschodu. Eden — mason. Angielska izba lordów — masoni, w Czechosłowacji wszyscy politycy bez wyjątku — masoni. Tego nie potrzeba argumentować. To się przecież wyliczuwa. Śmiesznie daleko zabiegło w tym pościgu za cieniami „Prosto z Mostu”. Komentując w jednym z ostatnich numerów upadek prowizorycznego rządu Bluma i utworzenie nowego gabinetu pod przewodnictwem Edwarda Daladier, który otrzymał od parlamentu pełnomocnictwa dawno niespotykane większością głosów (8 przeciw) — pisze tygodnik literacko-artystyczny, że „masoneria delegowała na miejsce Karunkelsteina innego swojego wybitnego członka Daladiera”, a „podkomendna prasa masoniska ogłosiła ten rząd jako rząd koncentracji narodowej” no i „blutt zrobił swoje — parlament uchwalił pełnomocnictwa”. To się dali nabrali! To ironicznie sprawozdanie „Prosto z Mostu” jest świętym przykładem do powiedzenia „plus catolique que le Pape”, które w tym wypadku można strawestować na — „plus national — francais qui Ibarnegaray”, gdyż posel Ibarnegaray, prezes grupy parlamentarnej francuskiej partii społecznej de la Rocque’a głosił za pełnomocnictwami. A jego nie można już chyba podejrzewać o naiwność, lub uległość

wobec rozkazów łóż, chyba, że „Prosto z Mostu” jest o machinacjach francuskiej masonerii lepiej poinformowane, niż jeden z czołowych parlamentarzystów skrajnej prawicy Chambre des Deputes. Dodajmy jeszcze, że Edward Daladier ma za sobą poważne osiągnięcia na polu organizacji zbrojeń francuskich, którymi kierował i kieruje jako minister wojny, że współpracuje jaknajściślej z gen. Gamelin, dla którego stworzył specjalny urząd koordynujący prace wszystkich trzech wojskowych ministerstw, że wreszcie, to chyba powinno się w „Prosto z Mostu” podobać, zabronił w armii prunumerowania i kolportowania naczelnego organu S.F.I.O. — Populaire, którego redaktorem jest Leon Blum, i to zabronił podczas sprawowania rządów przez tego ostatniego. Nazwanie Daladiera masonem rzuca wobec tych przykładów dziwne światło na działalność łóż. Przecież Daladiera delegowały łóż, to znaczy minister wojska, a nie dyrektory. Śledzimy więc jego destrukcyjną robotę; reorganizuje wojskowość francuską, powierza jej techniczną stronę jednemu z najwybitniejszych fachowców, wprowadza do Ministerstwa Lotnictwa niezwykle rzutkiego organizatora Guy la Chembre, — wobec tego należałoby właściwie uznać masonerie za organizację wyższej użyteczności, coś w rodzaju L.O.P.P. czy F.O.M., czy L.M.K. Pościg za cieniami doprowadził pewien odłam prasy do gryzienia się we własny ogon, to znaczy do zbijania własnych tez.

Również do dziwnych wniosków doprowadza czytelnika, posiadającego umiejętność logicznego rozumowania, czytanie artykułów, które gloryfikowały, na lamach tej samej prasy, działalność rumuńskiej Żelaznej Gwardii. Pisano o niej z entuzjazmem, publikowano fotografie Codreanu z dedykacją dla polskich czytelników, widziano w niej zbawienie rdzennie narodowej Rumunii przed zalewem żydowskim. Wyrażano nadzieję, że król Karol zwróci rolę narodu i powierzy władze natchnionemu przez ducha narodowego Codreanu. W parę tygodni po zalewie entuzjastycznych artykułów pojawiają się w prasie depesze o rozwiązaniu organizacji przez rząd Miron Cristea, rząd konsolidacji narodowej. Czytelnik potyka się poważnie. Nie rozumie. Narodowa organizacja znana za szkodliwą przez rząd narodowej konsolidacji, realizujący w dodatku program dość podobny do dzisiejszych programów wszystkich pravicowych partii? Nawet jeżeli przełknął bez zdziwienia te depesze, zahaczy się zdumieniem o najnowszą z 22 kwietnia, pochodzącą z biur ministerstw sprawiedliwości i spraw wewnętrznych w Bukareszcie. Depesze te zaopatruje „Gazeta polska” nagłówkiem „Rumuńska Żelazna gwardia stała na usługach obcych agentur”, pod którym wyczytujemy ciekawie i naprawdę ponure szczegóły działalności tej ultra narodowej, w sensie politycznej terminologii, organizacji. Z ministerialnych raportów wynika, że członkowie Żelaznej Gwardii posiadali broń i organizowali ćwiczenia, (ale nie Legii Akade-

mickiej), że Codreanu pisał do jednego z ideowych przyjacieli, że „zwycięstwo mierzyć będzie liczbą mogił, że zorganizował on rozgalejony aparat szpiegowski, posiadając informatorów w głównym sztabie armii i w najwyższych urzędach, poza tym stwierdzono na podstawie dokumentów, że organizacja utrzymywała kontakt i otrzymywała dyrektywy od zagranicy. Zelela Codreanu, jak się okazało, nie wyjechał z kraju do Włoch w celu pisania książki o swym ruchu, lecz został w Rumunii i zamierzał dalej prowadzić konspiracyjną walkę z rządem przy pomocy karabinów maszynowych i granatów, znalezionych podczas rewizji w mieszkaniach jego zwolenników. Dość dużo ciekawych fragmentów jak na działalność ruchu dążącego do odrodzenia narodowego. I co ma sobie myśleć biedny czytelnik, i tak już dosyć skołowaciany rozszalałym wrem prasowej karuzeli paradyksów? Przecież metody Żelaznej Gwardii są klasycznym przykładem wyrotowej roboty, którą dzienniki, ogłaszające przed paru tygodniami entuzjastycznie o tej formacji artykuły — zwykły przypisywać wszystkim, ugrupowaniem od siebie na lewo, jeżeli dla ułatwienia przyjmujemy ten dawny parlamentarny podział. Należy przyznać, że prasa narodowa oszczędziła po większej części swoim czytelnikom trudów rozwiązywania tych politycznych łamigłówek, nie zamieszczając ostatnich depesz z Bukaresztu. To stanowisko przypomina jej postawę wobec wykrycia we Francji spisku Cagoulard’ów, dążącego podobnymi co Żelazna Gwardia metodami do zdobycia rządów. Gdy z Paryża nadeszły wtedy wprost sensacyjne depesze o wykryciu tajnych arsenałów we wszystkich prawie częściach Francji, arsenałów, założonych przez skrajnie pravicową grupę, to znaczy, według mniemania W.D.N., przez ludzi, którzy jedynie mają prawo do nazywania się pełnowartościowymi Francuzami, dzienniki narodowe były z początku zbite z tropu, nieśmiało, bo przecież nazywać organizowanie wojny domowej dążeniem do Wielkiej Francji byłoby pociągnięciem zbytni ryzykownym, ale wkrótce potem przypomniałszy sobie, że na czele francuskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych stoi Zvd M. Dormoy, zaczęły zaznaczać między wierszami, że cała afera jest zainscenizowana przez tego bolszewika celem skompromitowania skrajnej prawicy w oczach opinii publicznej. To przecież niemożliwe, aby jakkolwiek nacjonalistę pod jakąkolwiek szerokością geograficzną krzyżowali linię swych dążeń z linią pracy dla dobra kraju.

W wypadku Cagoulard’ów te sugestie nie wprowadzały może czytelnika w stan osłupienia. Rząd był socjalistyczny, a po takim to przecieć wszyskiego można się spodziewać, tembardziej, że ten Karunkelstein to jakaś mętna figura.

Ale na tle rumuńskim takie domysły nie mają, nawet wśród narodowych czytelników, najmniejszych szans powodzenia. Wobec tego prasa milczy. I to milczenie jest bardzo wymowne.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Nowy Świat 57 m. 4. Administracja czynna codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od g. 11 do 15 pp. Redakcja — wtorki i piątki 17—19. Redaktor naczelny (Zbigniew Golszewski) — przyjmuje tylko w piątki 18—19.

Prenumerata: roczna—5.00, półroczna—2.70, kwartalna—1.50. Prenumeratę można zamawiać w Administracji N. Świat 57 m. 4. Wpłaty za prenumeratę należy wnieść na pocztowe konto rozrachunkowe Nr. 327 — Warszawa 1.

Wydawca i Red. odp. BOGDAN JAXA ROZEN.

Drukarnia Dziennikarska, Ogrodowa 39/41, tel. 3-22-17.